DWÓM BOGOM

Druk i Lit. Jana Cotty, Warszawa, Kapucyńska 7.

WILA

DWÓM BOGOM

POWIEŚĆ

WARSZAWA
JAN FISZER
9 Nowy-Świat 9

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Ноября 1901 года.

— Nie, ciociu, ja już chyba więcej na te lekcye nie pójdę! To profonacya nauki, to oburzające, — mówiła na pół z płaczem młoda 18 letnia dziewczyna, wbiegłszy z roziskrzonemi oczami i nerwowo zrzucając kapelusz i okrycie.

— Ależ, co się stało, Leonko?— dopytywała pani Bielska, niemłoda kobieta o energicznych rysach twarzy i suchej nerwowej figurze. Czy Falcman źle wykłada, czy program nie odpowiedni do twoich wymagań? To można przejść do innego kompletu na ten przedmiot; Jasiński równie, podobno, dobrze wykłada, choć mniej sławny. Ale, mówże, co ci jest? wyglądasz, jakby cię stamtąd wypędzili... czy cię jaka nieprzyjemność spotkała?

— Nieprzyjemność!—zaśmiała się gorzko Leonka—nieszczęście, ciociu, nieszczęście! Marzyłam o tych lekcyach przygo-

towarzyszych u pani Szulc, jak o świątyni wiedzy — a to parodya! Ciociu! on, ten Falcman, ten kapłan nauki, przy wykładzie żarty stroi! Dziś była fizyka, mówił o soczewkach i, dając objaśnienie budowy oka, zwrócił się do Izy z jakimiś głupimi komplementami o kolorze jej oczu. A ta się uśmiecha zarumieniona! Gęś jakaś! o Boże, Boże, jakże ja tam mogę chodzić? otóż i po nauce fizyki!

I wzburzona, zgorączkowana, zaczęła chodzić po pokoju.

Pani Bielska nie wzięła jednak tak tragicznie tego wypadku. Tylko przy tej sposobności wsiadła znów na swego konika.

— Moja droga, do tego powinnaś być przygotowana, że żaden mężczyzna uczciwie, po ludzku, obowiązku swego nie spełni. Jest i tak pewny, że go nikt nie zastąpi. Dopóki kobiety nie wywalczą sobie na równi z nimi wszelkich stanowisk, dopóty nie będzie w niczem sumiennego spełniania obowiązku. Mężczyzna na lekcyi— będzie flirtował; w biurze — będzie z kolegami grał w winta; jako lekarz—nie zajrzy do żadnej naukowej książki; jako

adwokat—wyręczy się, gdzie tylko można, swoim pisarzem i osobiście nie przeczyta akt żadnej sprawy, której broni—to już tak jest! Ale właśnie dlatego my — a raczej wy młode, musicie, nie zrażając się byle czem, zdobywać stanowiska, aby pokazać, jak to należy spełniać obowiązki! Jeśli dla małej rzeczy rzucisz lekcye, powiedzą: ot, kobiety, słomiany ogień, już się zraziła do nauki, jak popracować trzeba trochę więcej, niż nad paplaniną i brzdąkaniem! czy Falcman źle wykłada o ile nie flirtuje?

— Otóż właśnie, że doskonale! Tem większy mi żal, że taki mądry—a taki, taki... głupi. Boże! żebym ja tyle umiała, co on, coby mi było w głowie, czy jaka tam panna ma oczy w ogóle, a nie dopiero jakie?

— Otóż widzisz, ty naukę kochasz, bo jako kobieta musisz ją sobie zdobywać z wielkim trudem. Dla nich wszystko dostępne, to i nic nie kochają. Ale też kochając ideę, trzeba coś dla niej poświęcać. Ty poświęć swoje oburzenie, a na wykłady idź, bo lepszych niż u Szulcowej w ca-

łej Warszawie niema; tam wszystkie znakomitości wykładają.

Ale ja tu z tobą gadu, gadu — a moje obowiązki także czekają. Dzieciarni tylko patrzeć, a obiad pewnie surowy.

I pogłaskawszy Leonkę po głowie, podreptała szybkim krokiem do kuchni, gdzie Marcesia, kucharka, pomimo codziennego wysłuchiwania lekcyi o obowiązkach kobiety i wyższości jej nad mężczyzną, zeszła z drogi obowiązku i zamiast pilnować przypalającej się pieczeni, wychylała oknem pół postaci i szczerzyła zęby do stróża Jana, który ledwie raczył łaskawie przyjmować jej umizgi.

— Marcesiu! Jak ty ambicyi nie masz tak się bezwstydnie narzucać temu Janowi. Czy nie widzisz, że on do wszystkich sług z kamienicy tak samo się uśmiecha jak do ciebie; a ty zamiast dać dobry przykład temu wałkoniowi, co tylko na to z miotłą na podwórko wychodzi, aby do niego sługi oknami wyglądały—ty rzucasz obiad na kuchni i lecisz do okna — a narażasz zdrowie tylu osób, dzieci! Przecie obiad przegotowany, przypalony, nie bę-

dzie pożywny — a te dzieciaki się uczą, muszą być syte. Z twojej winy, mogą się pochorować, mogą gorzej się uczyć i nie wziąć promocyi — widzisz, jak pozornie mała wina, wielkie skutki może pociągnąć.

Potok wymowy pani Bielskiej o tyle wpłynął na Marcesię, że zwijała się prędko i wynajdywała coraz hałaśliwsze zajęcia, aby zagłuszyć panią. Tłukła pieprz w moździerzu, potem dorzuciła masła na rozpaloną patelnię, otwierała i zamykała fajerki, ale ponad dzwięk mosiądzu, ponad skwierczenie patelni i brzęk żelaznych fajerek— przebijał się rytmiczny, kazaniowy głos pani Bielskiej o obowiązkach kobiety.

Tymczasem Leonka wzburzona ciągle, to chodziła niespokojnie po pokoju, to siadała przy stoliku z zamiarem czytania — ale co wzięła książkę do ręki, sam widok naukowych wyrazów przypomniał jej świeże, silne wrażenie i z niechęcią rzucała książkę, a zatapiała się w smutnych swoich myślach.

— Jeśli kochasz naukę, poświęć dla niej co z siebie—ciocia mówi. Czyż mało

poświęciłam?—myśli Leonka. Odjechała od rodziców, takich dobrych, kochanych—nie chcieli jej puszczać, nie rozumieli jej zapału, podejrzewali o chorobliwą emancypacyę—ale póty prosiła, płakała, zapowiadała, że się zagłodzi, otruje, zabije — aż wreszcie, pełni niepokoju o nią, pozwolili. Ale co to za listy, które Leonka odbiera, zdaje się, że krwią i łzami je piszą. — A i ona, ile cierpi, czytając je i odpisując? O, nieraz takby rada przypaść do kolan tej dobrej mateczki i nigdy się od nich nie oderwać... Ale nauka, ludzkość! Czyż dla wiedzy nie należy poświęcić przywiązania do rodziców? To też Leonka poświęca—ale co ją to kosztuje! I to jeszcze mało? Jeszcze teraz trzeba poświęcić miłość własną, godność?

— Dobrze cioci mówić—ale jak to boli! Chociaż ciotka ma prawo mówić. Ona z siebie daje przykład. Trochę już dziwaczy z tą mężczyzno-fobią — ale podobno bardzo była nieszczęśliwa w pożyciu; od lat piętnastu, czyli od śmierci męża, sama własną pracą utrzymuje siebie i trzech synów i oto wyprowadziła ich na ludzi,

pospłacała kartowe długi męża. Dziwna kobieta. Męża nie cierpiała— a długi jego nawet karciane, spłaciła z twardej pracy—niechciała, aby po nim niesława spadła na synów. „Nic mi do tego, mawiała, jaki dług, dość, że dług — choćby się rozbójnikowi z nożem na gardle przyrzekło, że się odda, to należy oddać, albo mieć odwagę nie przyrzekać. Mój ideał człowieka, wiecie kto? Regulus, który wrócił do Kartaginy na pewną śmierć męczeńską, choć mógł, w obec wypowiedzenia wojny przez Rzym nie wrócić— wrócił, bo dał słowo.''

I to prawda, ciocia ma charakter żelazny—pewnie ma racyę. Ale żeby ciocia była na mojem miejscu... O Boże, Boże, a jeśli on zawsze będzie żartował i inni profesorowie także —jeżeli kiedy do mnie się zwróci?... No, to nie, bo ja jestem brzydka, a Iza bardzo ładna, każdego uwagę na siebie zwraca... Ale powinna, zamiast śmiać się, otwarcie powiedzieć jemu słowa prawdy — albo nie, zachować pogardliwe milczenie — ale tak spojrzeć, tak spojrzeć! żeby na zawsze popamiętał.

Leonka gorączkuje się coraz bardziej, głowę ma gorącą, policzki rozpalone — myśli zaczynają się jej plątać — chwilami mówi o Regulusie jak o sobie, to znów od Izy perorę Falcmanowi. Pragnienie pali ją okropnie — w końcu senność ogarnia i rzuca rozognioną, szepcącą słowa bez związku, na łóżko pani Bielskiej.

Tymczasem pracowite życie w mieszkaniu p. Bielskiej idzie swoim trybem. W jadalnym pokoju krząta się sama „ciocia", jak większość pupilów p. Bielską nazywa. Nakrywa do stołu dla całej gromadki młodszego pokolenia. Biega — nie chodzi, ale i też i rzuca — nie stawia talerzy, grzmoci sztućcami, szoruje przysuwanemi krzesłami; sprawia hałas owem nakrywaniem nieopisany. Za taką usługę przepędzonoby każdą pokojówkę za dziesiątą górę. Ale pani Bielska nie może inaczej, i tak robi więcej, niż parę pokojówek — a co ma innych obowiązków? widocznie musi się śpieszyć. Mieć dziesięciu malców na stancyi, prócz tego dwóch swoich sy-

nów, Leonkę, korepetytora i zawsze paru luzaków, którym daje obiady przez filantropię, maskując ten dobry uczynek, wymaganiem niby za obiady lekcyi, dla którego z małych chłopców.

Niegdyś żona zamożnego ziemianina, przywykła do dostatku, ale za życia męża jeszcze zaznała biedy. Pan Bielski hulaka, letkiewicz, żony nie cierpiał i traktował ją najgorzej. Byłby ją porzucił albo wypędził sto razy, gdyby nie czuł, że tem jej zrobi mniejszą krzywdę, niż codziennem maltretowaniem. Umierając nawet pamiętał o niej, bo usunął od opieki, naznaczając jakichś obcych wykonawców testamentu. Miało to jednak tę dobrą stronę, że majątek, oddany pod opiekę, nie mógł być przed dojściem do pełnoletności chłopców sprzedany — a, że zaledwie dochód z niego starczył na płacenie procentów, więc opiekunowie nie mieli nic przeciw temu, że matka, nie roszcząc pretensyi do opieki materyalnej, z moralnej zwolniła ich, zabierając chłopców ze sobą, aby ich utrzymać z własnej pracy. Jedyne, co wzięła z mężowskiego domu to

trochę ruchomości, aby urządzić mieszkanie w Warszawie. Założyła stancyę dla uczni; z początku miała paru chłopców, synów znajomych, którym sama gotowała, sprzątała, a wieczorami jeszcze przerabiała korepetycye. Ale pomimo, że nieraz sama była głodna, a stale miała podarte trzewiki — dzieci były żywione zdrowo i obficie, komorne opłacane regularnie i promocye uczniowie brali wszyscy, a jej synowie byli pierwszymi uczniami, każdy w swojej klasie. To zrobiło reklamę. Miała kandydatów mnóstwo. Wybierała też w końcu takich, którzyby jej wstydu nie zrobili, a nie brała wielu, aby się obejść bez cudzej pomocy i być samowładną w swem państewku. Obchodziła się bez pokojówki, biorąc tylko rano i wieczór do pomocy w czyszczeniu obuwia malcom i zmywania statków, dwie niewielkie dziewczynki, córki stolarza z tejże kamienicy, aby mieć możność żywić tę rodzinę resztkami obiadów i kazać uczyć dziewczęta jednemu z bezpłatnych stołowników. Utrzymywała zaś, że dlatego tak się urządza, aby brać tanio za stancyę, bo nie chce

bogatych paniczyków, którzyby jej zdemoralizowali wychowańców, oraz aby samej nie być *darmozjadem*, bo uważała, że każda nie fizyczna praca, to próżniactwo.

Pójście starszego syna artystyczną drogą, uważała za rodzinne nieszczęście, bo to już był w jej oczach szczyt próżniactwa, ale nie sprzeciwiała się, gdyż czuła, że toby było daremne. Synowie wdali się w nią o tyle, że każdy wolał rządzić, niż być rządzonym. Obecnie Roman był zagranicą, w Rzymie, gdzie kształcił się w akademii, korzystając z jakiegoś stypendyum i zarabiając już trochę własną pracą. Matka, choć tak gromiąca próżniactwo i niezaradność, odczuwała pewien żal, że już nie potrzebuje pracować na niego.

Leonka była bardzo daleką krewną p. Bielskiej. Umieścili ją u niej rodzice, raz, że było tanio, a powtóre, że to w ich oczach ratowało choć trochę opinię córki emancypantki, iż mieszka u *krewnej*. Leonka też, jakkolwiek rwała się z domu do Warszawy, jako do przedsionka świątyni wiedzy, bo stale marzyła, przygotowawszy się z niektórych przedmiotów i zdaw-

szy egzamin, wyjechać za granicę na uniwersytet, to jednak kiedy znalazła się pierwszy raz zdala od rodzinnego ogniska, tęskniła bardzo, całem sercem garnęła się do dalekiej krewnej, nazywała ją „ciocią“, pomagała w zajęciach domowych, o ile jej czas pozwalał; to jej dawało złudzenie, że jest jeszcze wśród swoich.

Pani Bielska pamiętała o swoich względem Leonki obowiązkach, dbała o jej zdrowie, ale poza tem wszelkie czułości rodzinne uważała za sentymentalizm i nie zwracała uwagi na to czepiające się jej serce.

I teraz nie zauważyła nieobecności Leonki, zwykle pomagającej w nakrywaniu. Nosiła się z talerzami, wpadała do kuchni zajrzeć, czy się co nie przypaliło i pochwycić nowy transport naczyń stołowych. Od czasu do czasu gromiła, któregoś z malców, którzy powoli zaczynali się schodzić:

— Cóż-to Staś dziś pierwszy przyszedł? Może opuściłeś lekcyę? Zawsze wracasz o 3-ciej — cóż znowu dziś?... Profesor chory? no pamiętaj, ja się dowiem, a na żadne opuszczania nie pozwolę, wydasz

dziś tę lekcyę p. Zaleskiemu, z którejś wyszedł—zobaczymy, czybyś był umiał, gdyby profesor był zdrów i ciebie wyrwał.

— Ależ, jak mamę kocham, chory. Pani zawsze nie wierzy... — bąkał zmieszany malec.

— No, no, zobaczymy — korona ci z głowy nie spadnie jeśli p. Zaleski przesłucha — tylko uprzedzam — masz czas powtórzyć, nim się inni zejdą na obiad.

— A toż znowu co? — wołała za drugim, wpadającym, jak bomba, pyzatym, czerwonym chłopakiem. Wlatujesz, nóg nie wytarłszy? Co to Marcesia niewolnica? będzie wycierała podłogi, a ty, smarkaczu, błoto znosisz? Tylko próżniak nie umie pracy ludzkiej szanować.

— Bo ja chciałem... bo ja śpieszyłem... mnie dziś wyrywali, dostałem czwórkę, — trzepał prędko chłopak, promieniejąc przy ostatnich słowach.

— Można brać czwórki, a być darmozjadem na świecie —jeszcze sam na siębie nie zapracujesz, żebyś miał cudzą pracę lekceważyć... A ty znów co z czułościami? — zwróciła się do nowej ofiary,

chłopca, który widząc humor nieosobliwy chciał widać ułagodzić i wchodząc pocałował p. Bielskę w rękę.

— Ja właśnie mam czas na całusy z wami—lepiej nogi wycierajcie, a ruszajcie prędzej do waszego pokoju! —a rzeczy porządnie przekładać, bo to każdy bony potrzebuje, żeby jego manatki składała.

Każdy z wchodzących przez kuchnię malców dostał jakąś admonicyę, chyba, że przemknął się szczęśliwie, w chwili, kiedy obarczona talerzami p. Bielska, wychodziła do jadalnego pokoju.

Wszyscy słuchali jak trusie, niektórzy się tłómaczyli nieśmiało, dopiero za drzwiami kuchni robili do siebie miny różne, mające oznaczać, że już nasza „ciocia" wsiadła na swego konika.

W końcu zebrała się cała gromadka wraz z korrepetytorem i pani Bielska znowu objęła komendę. Chodziła naokoło stołu otoczonego temi jasnemi i ciemnemi główkami, o krótko ostrzyżonych włosach: temu dolała zupy, innemu dokrajała chleba; tamtego gromiła, że źle trzyma łyżkę,

albo je za głośno, ale wszystkich pilnowała, aby jedli jak najwięcej.

— Józiu, nie pić wody po zupie! Chcesz mieć katar żołądka, albo stracić zęby? Staś, nie opychaj się suchym chlebem, zaraz podadzą mięso! Bolek, nie garb się! Antoś, czemu nie zjadłeś zupy, możeś niezdrów? Przecie lubisz taką zupę. A, pewno kawaler sobie zafundował po drodze ciastko, a teraz zupa w zęby kole. Wstydziłbyś się! Tylu ludzi na chleb niema—dziękowałoby Bogu, mając taką zupę, a ty z próżniactwa o przysmaczkach myślisz i tracisz pieniądze, których nie zapracowałeś.

Wymowa pani Bielskiej przerywała się jednak czasem, kiedy pilnowała sama, aby chłopcy nabierali duże porcye mięsa, albo słuchała, jak opowiadali korrepetytorowi, z czego który odpowiadał i jaki dostał stopień.

W końcu obiadu wystąpiła legumina, przy której już nie trzeba było zachęcać chłopców do nabierania dużych porcyi, ale raczej uśmierzać zbyt wybujałe apetyty, i tu interwencya p. Bielskiej była bar-

dzo na miejscu, bo zapewniła równomierny podział. Poczem cała gromadka poszła na spacer, a p. Bielska zaczęła nowe nakrywanie stołu dla starszej generacyi.

Ale tu już miała pomocników. Synowie nadeszli z lekcyi i wraz z nimi dwaj stołownicy, studenci, z których jeden, p. Zaleski, przesłychiwał zato Stasia lekcyi, a drugi p. Tur uczył stolarzówny.

Synowie wyręczali matkę w przygotowaniach obiadowych, ale dorywczo, oglądając się na drzwi, jakby czekając, że ktoś powinien ich z tego zwolnić. W końcu Adam, odezwał się. „A gdzież to panna Leonia, czy jeszcze na lekcyi?"

— A prawda! Gdzież to ona, że dotąd nie przyszła tutaj.

— Wróciła dosyć dawno, ale zmartwiona — nie zadowolona z profesora, bo rozumie się, męskim zwyczajem, zamiast poważnie traktować wykład, bawi się w komplementy pannom. Ale gdzież ona, chyba wyszła? Leonko, Leonko!

Ale Leonka się nie odzywała, słyszała we śnie gorączkowym wołanie; właśnie śniło się jej, że jest w domu i matka

z ogrodu woła Ją do siebie — ona śpieszy, a tu nogi się jej plączą, nie może podbiedz. Poruszyła się przez sen i jęknęła.

— Słyszy mama? p. Leonia widać się położyła rusza się tam w alkowie.

— Idź-że dowiedz się—a zburcz, jeżeli jeszcze gryzie się tym głupim Falcmanem. Nauka przedewszystkiem. Jak dobrze wykłada, to na resztę nie zważać i koniec. Ja idę przynieść wazę, wołajcież Leonki— nie będzie przecie głodziła się z tej desperacyi.

Adam tymczasem, jako wkrótce lekarz, a obecnie już zwolennik równouprawnienia i zwalczania przesądów — bez ceremonii wszedł do alkowy, będącej w przechodnim, między kuchnią a jadalnią i sypialnią chłopców, pokoju i od razu zdziwił się, nie słysząc opozycyi Leonki. Znał ją z tego, że zachowała jeszcze wiele przesądów, właśnie zwykły temat ich rozmów, to było jej w tym względzie zacofanie; pracował nad nią, aby wykorzenić te *łachmany starej cywilizacyi*. Zdziwił się więc i dziwna rzecz nie pomyślał, że to objaw nawrócenia, ale wpadł na myśl choroby.

Przysłowie mówi, iż kurze śni się proso, tak też studentowi medycyny — choroby. Adam, oswoiwszy oczy z ciemnością alkowy, dostrzegł leżącą Leonkę — dotknął jej rozpalonego czoła, usłyszał bezładne: „Izo, jak ci nie wstyd!" wziął za puls—i poszedł oznajmić matce, że Leonka jest mocno chora, ma silną gorączkę.

Pani Bielska kazała synom i gościom jeść i nie wtrącać się w nie swoje rzeczy, (co wywołało utarczkę z Adamem, który uważał chorobę wszelką, za arcy-swoją rzecz), ale sama zapaliła światło w alkowie, rozebrała nieprzytomną Leonkę i ułożyła w łóżku, a zapomniawszy, że nie jadła objadu, usiadła przy niej, zmieniając na czole w zimnej wodzie zmaczane płatki. Marcesia tymczasem leciała z kartką do znanego doktora.

Kilka dni zaledwie trwała choroba Leonki. Nerwowa gorączka, skutkiem silnego wzruszenia, zaopiniował doktór. Znakomitość lekarska uśmiechała się, kiedy p. Bielska opowiadała przyczynę:

— Ho, ho— zapalona główka! O, ale ja natrę uszu Falcmanowi. Cóż, pani dobrodziejko, za pani czasów chorowano, gdy się na balu nie miało powodzenia, albo z miłości, a teraz ot, czasy się zmieniły... Żądza wiedzy o chorobę przyprawia! O, zapalona panienka!...

Wszystko to mówił pół ironicznie, pół seryo.

Nie wiadomo było, czy jest za dawnemi, czy za nowemi czasami, tylko kiedy mówił: „zapalona panienka!" wyglądało to jakby myślał „apetyczna facetka!" jakby drwił, że te zapały taki wzięły kierunek.

Bądź co bądź, rezultat wizyty był dobry. Środki zapisane podziałały; przy łóżku chorej, traktował Adama jak kolegę, porozumiewał się z nim technicznym językiem, dawał wskazówki; matce pochlebił, mówiąc, że syn to materyał na dobrego lekarza, nie wziął nawet honoraryum, jako od uczącej się; wreszcie kiedy Leonka wyzdrowiała i poszła na lekcyę, okazało się, że rzeczywiście natarł uszu Falcmanowi, a przynajmniej opowiedział mu całą historyę, bo przy tej lekcyi Falcman uważnie

wpatrywał się w Leonkę, na co ona odpowiadała nieugiętą powagą wyrazu twarzy i odtąd nie żartował nigdy; wykład rozszerzył bardzo, jakby dopiero uznał, że ma godne siebie audytoryum, a każdą zawilszą teoryę wykładał zwrócony do Leonki, jakby jej jednej tylko ją objaśniał.

Leonka wróciła powoli do równowagi; słuchała lekcyi gorliwie; pracowała do późna w domu, korzystając, gdy po położeniu się malców w mieszkaniu cichło, a przechodni pokój z alkową przestawał być gościńcem dla wszystkich domowników. Wtedy zmęczona, utuptana pani Bielska usypiała kamiennym snem w alkowie, a Leonka siadała przy stoliku pod oknem i tonęła w tajnikach *wiedzy*, ograniczającej się tymczasem do bardzo skróconego zakresu kursu gimnazyalnego, niezbędnego dla otrzymania patentu. Czasem oczy się jej kleiły i ręka odmawiała posłuszeństwa, ale *zapalona panienka*, przypominała sobie swój wielki cel i znów tonęła w książkach. Czasem znów ogarniała ją tęsknota za domem, rodzicami, wiejską ciszą, za pieszczotą matczyną... takby chcia-

ła tę senną główkę oprzeć na kolanach matki i dać się popieścić, przytulić... Wtedy oczy już nie sen morzył, ale łzy zalewały i Leonka rada, że nikt nie widzi tej jej *słabości* płakała gorąco, gorąco...

Czasami, jeśli się trafiały dwa z rzędu dni wolne od lekcyi, u pani Bielskiej zbierało się kilka osób wieczorem na herbatę.

Tak się też zdarzyło pewnego listopadowego wieczora, a zdarzyło się podwójnie w porę, bo w dniu tym wypadały imieniny p. Bielskiej. Zazwyczaj ich nie obchodziła nie pozwalała nikomu o tem pamiętać, irytowała się kiedy chłopcy jeden za drugim odchodząc do szkoły, całowali ją w rękę i recytowali: „winszuję pani szczęścia, zdrowia i wszystkiego dobrego."

— Ot dudki dopiero! winszuję pani! — przedrzeźniała za odchodzącymi. Żebyż choć mówili: życzę — cierpieć nie mogę braku logiki. Mnie winszować! ciekawam czego? Czyste sroki, czy papugi. A i wszyscy ludzie papugi z tem bezmyślnem obchodzeniem imienin. Ot, radość wielka,

że komuś rok jeden więcej zwalił się na plecy!...

Gderała, gderała—ale jednak niewiadomo dlaczego—w tym dniu chłopcy dostawali na obiad jakąś wyszukańszą leguminę i to w takich porcyach, jakby to była kasza jęczmienna, a przy wieczornej herbacie zawsze się znajdowała jakaś ulubiona przez dzieci niespodzianka: to koszyk śliwek, to orzechy z miodem, to pierniki z konfiturami.

Tym razem były z rzędu dwa dni świąt i synowie postanowili, że mama wyda imieninową herbatkę. P. Bielska burczała na to postanowienie, ale mimo to zrobiła zapas chleba, masła, bułek i serdelków na przewidzianą liczbę gości i co zwykle robiła na tak wielkie uroczystości, pożyczyła u sąsiadów drugi samowar.

Chłopcy mali nie należeli do imieninowego towarzystwa, chodzili spać wcześnie, zresztą rozmowy, wywracające cały porządek społeczny do góry nogami, nie były dla nich budujące i pani Bielska nie pozwalała im przychodzić do bawialni.

Bawialnia improwizowała się po prostu z jadalnego pokoju, po wypiciu przez malców wieczornej herbaty, przez wyciąganie z kątów i z pod ścian foteli, kanapek i krzeseł, niegdyś zdobiących salon wiejskiego dworu, przez poprzysuwanie tych antyków do stołu jadalnego, zsuniętego do mniejszych rozmiarów i zapalenie staroświeckich lamp na rogowych, również antycznych, konsolach.

Głównie zaś stwarzało bawialnię to, że skoro się w niej pojawili zwykli goście, w tej chwili zawiązywały się dysputy gorące. Właściwie nie powinno się to było nazywać bawialnią. Nikt się tam nie bawił. Co chwila rozbrzmiewały w rozmowach wielkie słowa, wielkie hasła: nauka — społeczeństwo — wiedza — lud — praca — ojczyzna — ludzkość — naród. Wszyscy mówili z przejęciem, każdy w imię swego hasła.

Pani Bielska także często głos zabierała — ale najwięcej mówiła młodzież, a wszyscy z takim wyrazem twarzy, że zdawałoby się oto: jak on wypowie, co ma na sercu, to w tej chwili świat i wszystko

na nim zmieni swój kierunek i stanie się coś bardzo doniosłego—tylko, tylko trzeba wypowiedzieć te wielkie słowa! A każdy i każda robili to samo wrażenie. Aż dziwnie byłoby pomyśleć — gdyby tam kto znalazł się o tyle chłodny, by myślał krytycznie— że ci ludzie tak gorąco przemawiający, jak apostołowie — zaraz oto, na wezwanie pani domu, będą jedli pospolite bułki i jeszcze pospolitsze serdelki, że potem rozejdą się i pójdą spać, a potem wstaną i będą spełniać rozmaite drobiazgowe czynności, stosując się do tego świata, który przed chwilą burzyli ogniem słów swoich. Onego wieczoru byli zwykli najczęstsi goście: Iza, koleżanka Leonki, chorująca na emancypantkę, ładna blondynka z krótko obciętymi włosami, bo jej z tem było do twarzy, narzucająca swoją przyjaźń nie przystającej do niej Leonce, aby pod tym pretekstem, kokietować jej kuzynka Adama, imponującego jej swoim radykalizmem, zarówno jak swoją posągową postacią.

Marynia siostra Izy, studyująca nauki społeczne, tymczasem sposobem perypa-

tetycznym na wszelkich herbatkach, gdzie spotkać można było studentów, a z czasem mająca się zapisać na który z uniwersytetów szwajcarskich, aby *naukowo zgłębić* kwestyę ludową i robotniczą. Tymczasem powierzchowność jej elegancka nie zdradzała, aby z ludem i robotnikami miała jaką bliższą styczność, ale wygłaszane frazesy świadczyły o mnóstwie połkniętych ekonomicznych książek.

Pan Ignacy, kolega Adama, z tegoż wydziału i kursu, tylko innej specyalności, bo już obrał sobie przyszłą gałąź, jako damski doktór. Radykał-letkiewicz, widzący we wszystkiem na świecie panowanie Erosa i Afrodyty.

Pan Zygmunt, kolega Romana, więc też artysta, tylko malarz i to dyletant, bawiący się sztuką dla rozrywki.

Oprócz tych, domowi: Leonka łatwo zapalająca się w dyspucie, ale niewiele mająca swego zdania.

Adam, despota w radykalizmie, nie znoszący innego zdania prócz własnego.

Stefan, mało mieszający się do dysput, chyba, że one przechodziły na grunt spe-

cyalny, mianowicie przyrody, którą studyował z systematycznością i kultem pedanta-niemca.

Całe grono siedziało naokoło stołu, jak komu było wygodniej i prowadziło dysputę o doniosłości każdej gałęzi wiedzy. Adam krzyczał najgłośniej.

— Wszystko to banialuki! metafizyka, psu na budę się nie zdała, stare łachmany! Tylko wiedza pozytywna coś znaczy, wszelkie zatapiania się filozoficzne to głupota. Tylko za pomocą *zmysłów* zdobywa *umysł* wiedzę. Wierzę więc tylko temu, co mogę obaczyć, dotknąć, ale nie temu, co jaki stary pryk wyrozumował. I dlatego tylko medycyna coś warta.

— Ma racyę pan Adam, wmieszała się Leonka, nic piękniejszego nad medycynę, bo ona wyniki pozytywnej wiedzy stosuje do ratowania cierpiącej ludzkości.

— Właśnie dlatego socyologia jest najważniejszą nauką, że zajmuje się wyłącznie ludzkością. Socyologia to korona wszystkich nauk — zapalała się p. Marya.

— Pal dyabli ludzkość! Właśnie mi tam w głowie robiąc preparat, czy to ciało

ex-człowieka, czy ex-szczura! Obchodzi mnie sama nauka, czysta nauka, w której mogę każdą rzecz palcem niejako pokazać, przewidzieć, objaśnić, bez uciekania się do metafizyki.

— Ależ ostatecznie ludzkość na tem korzysta, kiedy tacy badacze studyują pozytywną naukę — cel zawsze ludzkości, mówiła, wpatrzona w *badacza*, Iza.

— Że też kobiety zawsze sentymentalne, nawet te, które niby idą nowemi drogami.—Dla prawdziwego człowieka nauki i pozytywisty — ludzkość nic nie znaczy. Wiedza! czysta wiedza! Ja, gdyby dla dobra nauki, dla przekonania się o jakimś ciekawym nowotworze np. trzeba było wywisekcyę zrobić na własnej matce — zrobiłbym i wcale nie w tej myśli, że ktoś tam kiedyś jakąś chorą żydówicę wyleczy na zasadzie moich studyów—tylko wprost dla zbadania, dla przekonania się, dla nauki!

— Czyli, znaczy, przez prostą ciekawość, — odezwał się ironicznie z któregoś kąta, wpatrzony w Leonkę tymczasem, p. Zygmunt.

— Boże! co też ten wygaduje!— zawo-

łała Leonka, wzdrygając się jednocześnie i zakrywając oczy. Matkę!...

— No cóż? proszę jeszcze wzywać wszystkich świętych na ratunek, za to bluźnierstwo. Burżuazyjna cnota, burżuazyjna sentymentalność!—drwił Adam.

— A dlaczegoż to ty wyjeżdzasz z *ciekawością?* Pewno u was, twórcy bohomazów, nieznane to uczucie: żądza wiedzy — ale może przypominasz sobie z historyi, że, dzięki jej, jesteśmy tem, czem jesteśmy.

— No, bądź co bądź — złe zrobiliście porównanie, kolego, odezwał się Ignacy z filuterno-cynicznym uśmiechem, naco sobie psuć efekt doświadczenia starem, macierzyńskiem trupiskiem, kiedy mamy dla studyów tyle młodych, ładnych nieboszczyczek! A szpitale? Co tam przystojnych pacyentek i jak zbudowanych! Jest co widzieć i to ad libitum, dla dobra wiedzy!

Leonka oburzona wyszła z pokoju, przeprowadzona wzrokiem Zygmunta i ironicznym uśmiechem Adama. Z drugiego po-

koju słyszała dalszy ciąg rozmowy, Adam dowodził:

— Otóż-to nasze mniemane równouprawnienie! Kobiety marzą niby o nauce, wybierają się do uniwersytetów, a nie umieją poważnie rozmawiać o poważnych kwestyach, niech tylko temat wyjdzie poza katechizmowe prawdy, albo *prawidła obyczajności pani Kraśnickiej*, zaraz kapłanki Westy wyrastają z tych służebnic Minerwy. Przypomina mi to ową pensyę renomowaną żeńską, gdzie w programie były nauki przyrodnicze, ale kwestya rozmnażania się nawet roślin, była usunięta z kursu, a anatomia człowieka, dochodziła w ostatniej klasie od głowy do pasa. I to się nazywa żądzą wiedzy!...

— Pensya miała racyę — dalszy ciąg studyów nastąpi dla słuchaczek potem, rozumiesz?—dogadywał Ignacy.

Leonka tymczasem zalewała się łzami w alkowie, ale wcale nie nad grubiaństwem naukowem Adama, ani cynizmem Ignacego—lecz nad swoją „głupią naturą“, która nie może osięgnąć obojętności prawdziwie naukowej na niektóre kwestye.

Naturalnie, że to jej wina; przecie chcąc iść na medycynę, musi być przygotowaną słuchać różnych *takich rzeczy*—czyż i tam ma się rozbeczyć. Ale bo to można powiedzieć i powiedzieć, czyta przecie wszystko i nie rumieni się, ani płacze, a tylko tak słuchać... niemoże. Ale to trzeba przemódz, będą ją mieli za gąskę, nie kochającą nauki, tylko idącą owczym pędem za emancypacyą—otóż nie! postanawia sobie, i osuszywszy oczy za pomocą chuchania na chusteczkę odważnie wychodzi.

Szczęściem zastaje już inną kwestyę.

Któraś z panien zauważyła bukiet, stojący na konsoli i, zdziwiona kwiatami w tej porze, zapytała.

— Ach, to ta romantyczka Leonka przyniosła mi dziś, z racyi tych niby imienin. Potrzebny wydatek!—objaśnia pani Bielska.

— To dziś pani imieniny?—zapomniałam, mówiła Iza, ale i tak nie winszowałabym, z zasady, jestem przeciwna konserwowaniu tych zastarzałych zwyczajów.

— Masz racyę—odpowiedziała p. Biel-

ska—ale głos jej cieplej jakoś brzmiał wymawiając „ta romantyczka Leonka“ z naganą, niż to: „masz racyę“ z aprobatą.

— Ja już nie pamiętam, ile lat mamie nie winszowałem, chyba jeszcze z laurką w ręku?—zaśmiał się Adam.

Zygmunt tymczasem zbliżył się do konsoli i przypatrywał bukietowi.

— Jaki ogrodnik robił pani ten bukiet—spytał Leonki.

— O, żaden! — nie lubię układanych bukietów. Prosiłam o pozwolenie urwania tych kilku róż i tak je ułożyłam, jak same chciały. Nie znajdzie pan tam artystycznego układu.

— Nie znalazłem ogrodnickiego i dlatego pytałem, zdziwiony, że się znalazł ogrodnik odczuwający układ artystyczny—a to tymczasem ogrodniczka.

— Jak to razi, kiedy państwo używacie terminów, nie rozumiejąc ich znaczenia—*układ i układ*—tymczasem tu, ani o Lineuszu, ani o Jussieu nie było mowy. To wprowadza zamieszanie do pojęć, takie splątanie terminów naukowych do banal-

nych rzeczy, drewnianym głosem, powoli oponował Stefan.

— Naturalnie! Mieszacie „res sacra profanis“, gdy idzie o ten bukiet, to nikt niema prawa mówić, czy jest ładny, czy brzydki, ale spytać Stefana: do jakiej rodziny róże należą, ile mają płatków, pręcików, słupków, jakie zalążki i t. d.

— Smutneby to było, gdyby wśród nas, którzy się liczymy do intelligencyi, znalazł się ktoś, ktoby i beze mnie nie wiedział, do jakiej rodziny należy róża, spokojnie odpowiedział Stefan, z głębokiem przekonaniem, że społeczeństwo zginęłoby, gdyby jego członkowie nie znali, jak pacierza, botaniki.

Tymczasem rozległ się dzwonek w przedpokoju, a że się nie spodziewano nikogo więcej, pani Bielska wyszła sama, sądząc, że to jakaś niespodziewana wizyta władz gimnazyalnych do uczniowskiego apartamentu. Wybiegając, szepnęła jeszcze Adamowi:

— Pewno jaki pedel, albo inspektor — idź zobacz co się dzieje u chłopców...

Ale była to depesza, Pani Bielska wró-

ciła do lampy i choć nadrabiała miną, znać było niepokój. Niemogła dojrzeć liter, udawała, że nagłe światło ją razi, aby się nie przyznać, że tam może były łzy, drżącej o syna—artystę, matki— realistki. Stefan przyszedł z pomocą.

Przez ramię matki przebiegł oczami depeszę i bez komentarzy objawił:

— To życzenia, mamo, od Romka z Rzymu, Dziś wysłane w same imieniny.

— A to się wybrał! Potrzebne mi jego życzenia! Także! — fukała pani Bielska, radą, że złością może zamaskować wzruszenie. Cierpieć niemogę tych idyotycznych zwyczajów.

— Romek naturalnie, wystąpił z telegraficznemi życzeniami —drwił Adam—ot rycerz średniowieczny, właśnie para dla p. Leonii. Ta depesza to *pendant* do dzisiejszego bukietu.

Leonka zła była na siebie za pomysł bukietu, za który nie zyskała nawet podziękowania, a tyle uszczypliwych słów; wymyślała sobie sama, że jest „konserwą z epoki romantyzmu“, że nigdy nie do-

rośnie do prawdziwego postępu — ale jednak przykre jej były drwiny z depeszy nieznanego Romana i z sympatyą myślała o tym niepostępowym rycerzu — artyście!

Wieczór skończył się, jak zwykle, prozaicznem spożywaniem bułek i serdelków z herbatą, przyczem jeszcze kilka razy wracała na stół kwestya wyższości czystej wiedzy, nad utylitarną, stosowaną bodaj do humanitarnych celów, i nad zupełną niższością sztuki, literatury — których to pogardzonych muz podjął się na razie bronić Zygmunt, ale w tej chwili przestał, bojąc się narazić Leonce, która zawyrokowała, że ludzkość mogłaby się doskonale obejść bez Rafaelów, Michałów Aniołów i Praksytelesów, a nie obeszłoby się bez porządnych felczerów, nie mówiąc już o lekarzach!

Że wolałaby uszyć koszulę ubogiemu, niż namalować arcydzieło!

To wystąpienie złagodziło trochę gniew ku niej Adama, ale zamknęło usta Zygmuntowi.

Goście rozeszli się, przyczem domowi mężczyzni odprowadzili panny do domu.

wyrzekając na niedorzeczność tego zwyczaju—a Leonka położyła się, myśląc: jaka szkoda, że ten sympatyczny Roman, obrał sobie taki bezmyślny zawód.

Życie wszystkich domowników pani Bielskiej płynęło dalej jednostajnym trybem. Na pozór była to jadłodajnia, gdzie główną osią wszystkiego było nakarmienie tej całej głodnej rzeszy większych i mniejszych adeptów nauki — w rzeczywistości był to jakby złożony z kilkunastu klas zakład naukowy, gdzie od wstępniaków do doktoryzujących się niebrakło przedstawicieli. Nauka, nauka i jeszcze raz nauka słyszało się tu ciągle. Całe to zbiorowisko młodzieży, że użyje tak trywialnego porównania, w rozmaitych zakładach naukowych, jakby na różnych pastwiskach skubało swój pokarm, a wróciwszy do zagrody tu go przeżuwało. To też i atmosfera tej zagrody była cała przesiąkła tym przeżuwanym pokarmem. O niczem innem się tu nie mówiło, niczem nie interesowało.

Czy była piękna pogoda na świecie

i bawiąca się ludność Warszawy wysypywała się do ogrodów i miejsc spacerowych, czy się zaczęły chłody, słoty, jesienne wieczory i znowu *cała Warszawa* urządzała bale, rauty, teatra filantropijne i nie filantropijne; czy przyjechała jakaś znakomitość i kuryerki uporać się z nią nie mogły —tu o tem wszystkiem nie rozmawiano. Czytano kuryerek, ot tak sobie, ale głowy były zajęte czem innem i wiadomości bieżące przechodziły bez wrażenia.

Leonka, marząca w wiejskim dworku rodziców o wielkiej nauce, wpadła w wymarzone przez siebie warunki.

Skąd w marzeniach jej wzięła się owa nauka i chęć poświęcenia jej życia, daremnieby szukać.

Realnej przyczyny nie było. Rodzice, skromnego mienia, dzierżawcy wiejscy, zagospodarowani, zacofani, jakby ich nazwał Adam, daremnie przebiegali myślą wpływy, które mogły *przewrócić w głowie dziewczynie*. Wprost, jakby z powietrza przyszło.

Kilkoletniem dzieckiem jeszcze, była

inną, niż reszta rodzeństwa. Czasem nadto rozhukana, czasem smutna smutkiem dorosłych ludzi; to rozmodlona do ekstazy, to „obrażona na Pana Boga, że jej nie wysłuchał“ i nie chcąca mówić pacierza to gorliwa w nauce i odrabiająca dobrowolnie trzy razy tyle zadań, ile zakreśliła nauczycielka, to leżąca bezczynnie dnie całe i żadnemi groźbami nie dająca się obudzić z lenistwa — Leonka sprawiała zawsze niemały kłopot swoim wychowawcom. Mając lat kilkanaście jakby się nagle zmieniła, zabrała się do pomocy matce w gospodarstwie i wielkie oddawała usługi; ale też zaraz całe pieniądze otrzymane od matki z dochodów kobiecego gospodarstwa, za pomoc w niem — obróciła na sprowadzenie z Warszawy całej paki książek, wybranych z katalogu na los szczęścia—z tytułów. Była to cała encyklopedya wiedzy—od popularnych książeczek z dziedziny przyrody do poważnych dzieł klasycznych.

Leonka zabrała się do czytania—*zrozumiała,* że nic nie *rozumie.* Przyszła rozpacz, łzy, potem zacięcie się, żeby na

swojem postawić i odtąd rozpoczęła się trudna praca samouctwa. Domyślała się i przeczuwała więcej, niż się uczyła— ale tym razem fantazya nie minęła i po paru latach samouctwa, Leonka uporem, łzami, zaklęciami wymogła na rodzicach pozwolenie na wyjazd do Warszawy. W jej mniemaniu był to wyłom tymczasowy, mający oswoić twierdzę władzy rodzicielskiej z głównym atakiem: o wyjazd na uniwersytet—w przekonaniu zaś rodziców było to dogodzenie fantazyi mniej niebezpiecznej, aby uniknąć gorszej, t. j. tego przerażającego uniwersytetu; byli bowiem pewni, że nacieszywszy się spełnieniem zachcianki, wróci ostygła z naukowego zapału.

Ale cierpieli bardzo nad tem rozstaniem, a i Leonka choć trafiła do takiego *perpetuum mobile* nauki, cierpiała i tęskniła więcej od nich.

Tembardziej, że niemiała się przed kim zwierzyć ze swoim smutkiem, a młodość tak potrzebuje zwierzeń.

Żal jej było nietylko tych serc sobie oddanych, które zostawiła w domu, ale

wszystkiego czego nie znalazła w Warszawie. Żyjąc lat 18 na wsi, zrosła się z jej powietrzem, rolą, łąkami, lasami, jak prawdziwe dziecię natury — ale jak młynarz nie słyszy klekotu młyna, albo maszynista turkotu kół— tak ona nie oddzielała siebie od wsi i wsi od siebie.

Teraz dopiero doznawała czasem rozpaczliwej tęsknoty za przestrzenią rozległą i pustą, za rykiem trzód i zapachem zoranej roli.

Ale u pani Bielskiej nikt za niczem nie tęsknił.

Pani Bielska takie stany ducha nazywała *mazaniem się*, a młodzież „przeżytkiem sentymentalnej epoki."

I Leonka w teoryi powtarzała, że ten przeżytek *mazania się* niema sensu — ale naprawdę było jej nieraz bardzo, bardzo smutno, choć już zgłębiła wszystkie tajniki kursu gimnazyalnego i miała wkrótce przystąpić do egzaminu.

Egzamina miały się odbywać w styczniu, więc aby nie stracić ani godziny z czasu mającego być użytym na naukę, a także, aby ćwiczyć się w pokonywaniu skłonno-

ści do sentymentalnych przeżytków, postanowiła Leonka nawet na święta nie pojechać do domu. Miał to być także rodzaj egzaminu, zdanego przed samą sobą z postępu w pojęciach i uczuciach, bo wiedziała, że w tym czasie, wolnym od wykładów, studenci domowi i ich koledzy będą często zbierali się na gawędki, gdzie, poruszane żywotnie naukowe kwestye, były nieraz powodem wewnętrznej rozterki Leonki, chcącej z *zasady* podzielać teorye młodzieży, a nieraz buntującej się przeciw nim, skutkiem, jak mówiła, swego zacofania. Nie dorosła była umysłowo do miary, na której ją chciał widzieć Adam i ona sama.

Minął chmurny i słotny listopad, ale niebo tak płakać przywykło przez ten miesiąc żałobny, że i grudzień nie grudę, lecz błoto przyniósł ze sobą. Ledwie czasem na krótko ukazało się blade, jak muślinem zasłonięte słońce i znów mgły i chmury je przesłaniały, a na Warszawę siały drobnym, zimnym, przenikliwym kapuśniaczkiem.

Elegancka Warszawa wcale nie była

widzialną, chyba przez spuszczone szyby karet, a ta wiecznie śpiesząca, pracowita, zapełniała jak zwykle ulice, ale pod uderzeniami siekącego deszczu i przejmującego zimna, śpieszyła jeszcze bardziej.

Gdyby ktoś zechciał, nie zważając na deszcz i zimno, stanąć przy chodniku i przypatrywać się twarzom śpieszących przechodniów, mógłby z wyrazów twarzy poznać nie tylko usposobienie, ale i stan zdrowia obserwowanych. Zdrowe organizmy mają w takie dnie świeże, wyszczypane na czerwono przez zimno policzki, wesołe oczy i postawę, jakby wyzywającą mokry żywioł do walki; nerwowcy przeciwnie, pomimo rumieńca, w oczach przejawiają apatyę, smutek, a pochylone postaci i wsunięte w ramiona głowy, zdradzają bierne poddanie się i zniechęcenie. Gdyby był jakiś przyrząd do mierzenia, ogólnie dokonanej w danym dniu, pracy społecznej, to w dniach jesiennego kapuśniaczku, strzałka stałaby bardzo nizko, bo nerwowców jest bodaj połowa społeczeństwa.

Leonka ulegała także wpływom pogody

i ostatnimi czasy z daleko mniejszym zapałem uczęszczała na lekcye, a wróciwszy do mieszkania często siedziała nad książką albo zeszytem bezczynnie, a myślą wybiegała daleko, daleko, poza szare mury kamienic, oślizgłe płyty chodników i monotonny plusk deszczu w rynnach, a nawet, o zgrozo, daleko od wykładów— aż do wiejskiego dworu i płonącego na kominku ognia.

Jeśli co może neutralizować denerwujący wpływ deszczu, to tylko kominek. Nie darmo za najjaskrawszy kontrast uchodzi: ogień i woda. Ale woda zawsze, może tym cichym szmerem, może powolnością i płynnością ruchów robi, nawet nie w postaci deszczu, wrażenie obezwładniające, rozmarzające.

Morze działa tak samo: koi, usypia, rozmarza, wprawia w stan, dający przedsmak nirwany — ogień przeciwnie: pobudza energię, rozwesela, stwarza pochop do czynu. Czy to jaskrawe palenisko fabrycznego komina lub machiny; czy płomień kominka, czy kilka czerwono błyskających skałek na przypiecku izby wieśnia-

czej; czy nawet wniesiona do pokoju lampa— zawsze działa wesoło i pobudzająco.

Na domowników p. Bielskiej, mało oddziaływają wpływy atmosferyczne: dzieciarnia, byle raz poza przymusem szkolnym, odzyskuje humor, wesołość, choćby niewiem jakie upusty się otworzyły. Tylko częstsze gderanie „cioci“ w kwestyi wycierania nóg i zabłocenia ubrań — może być wskazówką barometryczną.

— Antoś— ty wyglądasz jakbyś do gimnazyum chodził w Pacanowie, nie w Warszawie! przecie, zdaje się, wszędzie na chodnikach masz asfalt, albo kamień— gdzieżeś potrafił ugrząść wyżej kostek? Całe spodnie w błocie. Chyba umyślnie to robisz?

— Alboż-to? Doprawdy nierozumiem, co wy wyrabiacie! U wszystkich jedna poła szynela od spodu cała w błocie. Nie są zresztą tak długie...

Nie mogła poczciwa „ciocia“ domyślić się tak prostej rzeczy, że przecie każdy porządny człowiek śpieszy z klasy do domu, a niema lokajów do usługi w *sztubie*

wkłada się więc jeden rękaw i leci na dziedziniec, a nim się natrafi na drugi rękaw, połowa szynela wlecze się po bruku dziedzińca tymczasem.

A i tak jest wesoło, bo z wypisanych na pierwszej stronicy brulionu kalendarzyku dni, od wakacyi do świąt jest tylko kilka nie przekreślonych. Niektórzy nawet przekreślają z wieczora dzień następny, aby pod lepszem wrażeniem pójść spać, widząc jedną kreskę więcej.

Są jednak tacy, którzy mniej zazdrośnie stawiają kreski—to ci, którzy, mieszkając bardzo daleko, nie mogą na święta odjeżdżać do domów. Ci zostaną z „ciocią" i z zazdrością myślą o szczęśliwych kolegach, których czekają: jazda sankami (o, bo na święta pewno będzie śnieg, coby to za święta były bez śniegu?) ślizgawka, gra w śnieżki i fortecę, a także choinka, bakalie, słowem wszelkie rozkosze!

Nareszcie nadeszły te dnie uroczyste. Kto miał wyjechać — wyjechał, pani Bielskiej zostało: dwóch synów, Leonka i czterech malców, zgryzionych i smutnych, tem więcej, że mrozy wzięły nagle, zjawiło się dawno nie widziane słońce, a choć śniegu nie było, ale szron okrywał co rano drzewa i dachy, jakby brylantowemi iskrami i dawał złudzenie zimy śnieżnej, prawdziwej polskiej zimy.

Pani Bielska w przeddzień wigilii chodziła jakiś czas zamyślona po pokoju; w końcu zwróciła się do Leonki:

— Wiesz, Leonko, ty do takich rzeczy pewno majster, bo masz młodsze rodzeństwo— pomóż mi to urządzić, bom już odwykła.

— Najchętniej, co ciocia kae. I Leonka rada, że oderwie myśli od wspomnień, ofiarowuje swoje usługi.

— Oto widzisz, trzebaby chłopcom urządzić „Święta." Choć to wszystko głupstwo, ale co ma im być gorzej u mnie, niż tamtym w domu. Uczyli się równie dobrze. Zresztą to dzieci. Ja się zajmę wieczerzą, stołem — a ty, z łaski swojej,

ubierz mi drzewko, ale ładnie; kup, co trzeba, ja drzewko przyślę rano z targu. Tylko w sekrecie, niech mają niespodziankę. Ale gdzie się od nich schować?

Leonka już w najlepszym humorze i ma pełno pomysłów.

— Zafunduję im ślizgawkę, a stamtąd nie prędko będą do domu śpieszyli, zresztą zamknę się w jadalnym pokoju, aby nagle wracając nie wpadli.

Nazajutrz bardzo wcześnie Leonka wybiegła na miasto i zaopatrzyła się we wszelkie choinkowe skarby: były tam orzechy; pierniki, jabłka tyrolskie, cukierki, figi, daktyle do podzielenia, złote i srebrne kule, błyszczący śnieg, skrzydlate aniołki i różnokolorowe papiery dla napasienia oczu.

Z temi wszelkiemi świecidłami zamknęła się po południu w jadalni, podczas kiedy dzieci używały ślizgawki, a pani Bielska z Marcesią dopełniały potrzebnych do wieczerzy zakupów.

Właśnie w chwili, kiedy Leonka cała obwieszona łańcuchami z różnobarwnych papierków stanęła na krześle, aby od góry

do dołu przystroić drzewko w te barwiste sploty—dał się słyszeć dzwonek.

— Nieszczęście! — szepnęła do siebie. Niema nikogo, aby otworzył, ja taka oplątana, a to pewno ktoś obcy...

Dzwonek zadźwięczał powtórnie.

— I niecierpliwy! Niema rady, trzeba iść.

Zeskoczyła z krzesła i, jak na maskaradę ustrojona w swoje łańcuchy, wybiegła. Odsuwając zatrzask uchyliła drzwi trochę i chowając za nie całą postać, wysunęła głowę naprzeciw natręta.

— Czy pani Bielska jest w domu? — zapytał melodyjny głos męski i za drzwiami ukazała się sympatyczna postać, jakoś bardzo śmiała, chcąca drzwi otworzyć szerzej.

— Niema w domu, wyszła i nieprędko wróci—wyrecytowała jednym tchem Leonka, aby zniechęcić gościa do czekania, a tymczasem starała się drzwi zatrzasnąć przed nosem.

— Może jaki złodziej, a ja sama jedna—pomyślała ze strachem.

— Ach, więc nie wyjechała na święta,

tylko wyszła do miasta. Jakże to dobrze! Przepraszam!... i popchnął drzwi śmiało jedną ręką, drugą tymczasem podnosząc z ziemi podróżną walizkę.

— Ach, to pan Roman! — zawołała Leonka mimowoli ucieszonym głosem, że to nie złodziej, tak przemocą wdarł się do mieszkania. Poznała go od razu, gdy stanął we drzwiach, — nieraz spoglądała bowiem na jego fotografię, ilekroć matka i bracia ironicznie się o nim odzywali. Wprawdzie z fotografii nie widać było, że był słusznym i blondynem, ale te błękitne oczy były tak na fotografii marzące, a tak odmienne od matki i braci, że po nichby go poznała.

— Więc zapewne mam przed sobą pannę Leonię. Mama w listach wspominała o pani — a ja znałem jej rodziców jeszcze kiedyśmy na wsi mieszkali, a pani zapewne na świecie nie było.

Leonka zmieszana swym strojem nie odzywała się.

— Ja się tu tymczasem tak rozkwateruję, bo nie chciałem czasu tracić na szukanie hotelu, nim mamę zobaczę. — Pani

pozwoli się rozgościć, — zapytał zrzucając futro.

— Ale jakże! tylko przeproszę, że odejdę do swojego zajęcia, bo to bardzo pilne, dodała wskazując łańcuchy.

— Może mię pani przyjmie do pomocy?

— Dobrze, ale będzie pan uwięziony, bo ja się zamykam, aby jak chłopcy przez kuchnię wpadną nagle, nie wtargnęli tu i nie zobaczyli tej niespodzianki!

— Bardzo przyjemne więzienie z tylu i takimi zapasami żywności, — rzekł wskazując bakalie. Czy to Adaś i Stefcio dostają choinkę, —zapytał śmiejąc się.

— Wyobrażam sobie pana Adama w tej roli—rozśmiała się Leonka.

— A no, nie byłoby nic dziwnego, gdyby natura upomniała się o swe prawa pokrzywdzone. Nie byli dziećmi we właściwym czasie.

— To dla czterech uczniów, którzy zostali przez święta u cioci. Poczciwa ciocia tak dba o nich, aby im mniej dać uczuć tę krzywdę, że są za domem w takiej chwili.

I posmutniała znowu, a dla ukrycia

wrażenia, zaczęła bardzo gorliwie zawieszać na drzewku różne ozdoby.

Roman tymczasem uderzony obrazkiem jaki tworzyła ta młoda dziewczyna w pół zasłonięta zielonemi gałązkami świerku, ze wzniesionemi w górę rękami, obwieszona świecidłami, które zdejmowała od czasu do czasu z ramion i zawieszała na szczycie drzewka, taka młoda i świeża — wpatrywał się okiem artysty.

— Jaki pani ma polski typ—to coś bajecznego! Tak jak pani stoi na tem krzesełku, mogłaby pani wyobrażać Wandę skaczącą ze skały w Wisłę.

Leonka poczerwieniała mocno z obawy komplementów, ale spojrzawszy na Romana od razu została dobrze dla niego usposobioną.

W twarzy jego nie było ani śladu *donżuaneryi*. Widocznie ani myślał o komplementach— patrzył na nią takim wzrokiem jakby była także częścią tego drzewka, które tworzyło obrazek. Uśmiechnęła się więc tylko i dalej ubierała choinkę.

— Jak zacznę nareszcie moją seryę sarmatek, pani mi będzie pozowała do

Wandy—dobrze? albo do Chrzanowskiej, a może do Ś. Jadwigi. Zobaczę jak poznam lepiej wyraz twarzy pani!

— Ja do pozowania — na to trzeba piękności. Ładny byłby posąg z takim np. nosem!

I rozśmiała się, a tak szczerze, że Roman ani pomyślał o grzecznym proteście, co do urody. Widać było, że to ją nic nie obchodzi. Odpowiedział jednak, patrząc na nią uważnie:

— Moje sarmatki, tak jak je sobie przedstawiam w myślach, nie koniecznie są piękne, a przynajmniej nie pięknością szablonową. Polski typ ma to do siebie, że ma nie tyle piękności co charakteru w twarzy. To bardzo ważna rzecz, szczególniej dla rzeźby. Co ja się napatrzyłem za granicą twarzy kobiecych—ale powtarzam, niema jak nasz typ.

Wpatrywanie się to, jakkolwiek zupełnie *przedmiotowe* wadziło Leonce, więc przerwała je, prosząc o podawanie bakalii do nakładania w koszyczki.

Pan Roman pomagał sumiennie, przy-

nosił, zawieszał, a tymczasem rozmawiał z Leonką.

Był bardzo wesół, jakby uradowany z czegoś i rozrzewniony zarazem.

Wesołość jego chwilami udzielała się Leonce, która często jednak spoglądała zamyślona na choinkę i oczy jej wyrażały smutek.

Jakby tłómacząc się wtedy ze swego nastroju zaczął:

— Panią razi mój dobry humor—rozumiem to. W takim dniu wolałaby pani nie być w Warszawie, nie ubierać tej choinki dla obcych, obojętnych a może dokuczliwych chłopców, ale w gronie swoich blizkich oczekiwać wieczerzy i opłatka i uścisków rodzicielskich. Otóż ja to dobrze rozumiem, bom po to leciał tu ze środka Europy, a choć nie wszystko czeka mię w domu tak, jak innych w takich warunkach—ale tak mię tu ciągnęło. A kiedym zastał tu nastrój świąteczny i panią w tych łańcuchach i tę choinkę — tak mi się wesoło zrobiło, aż uraziłem panią.

Leonka czuła, że ją zrozumiał, była mu w duszy wdzięczna, chwytała ją za serce

ta delikatność uczuć— ale zarazem wstydziła się być podległą takiemu sentymentalizmowi—wstydziła się za siebie i za Romana. Przecież gdyby kto z młodych słyszał go, wyśmiałby ich oboje. Ona go też zrozumiała, ale wszelkie tęsknoty, wspomnienia, uczucia — miała za chwile słabości, karygodne w kobiecie, a zupełnie niemożliwe w mężczyźnie. Że ona czasem jeszcze miewa takie upadki ducha, to dla tego, że jest słabą, moralną niedołęgą, ale bądź co bądź, pracuje nad sobą i pozbywa się stopniowo tej słabości. A on być powinien także człowiekiem czynu i zasad, a nie jakimś sentymentalnym mazgajem. Nie zdawała sobie sprawy dlaczego radaby, aby Roman wydał się lepiej matce i braciom, aby się nie narażał na ich złośliwe docinki! Jak matka, która znając słabości dziecka sama radaby je zasłonić przed obcymi, ona czuła, że będzie jej przykro, kiedy on da broń na siebie w ręce rodziny i gości domowych.

To też chciała mu dać z siebie dobry przykład, a także pozorną szorstkością maskować ogarniające ją uczucie wdzięcz-

ności dla tego, który pierwszy, od kiedy była wśród obcych, odgadł i przemówił serdecznie.

— Myli się pan,—rzekła szorstko, rzeczywiście może razi mię dobry humor Pana, o tyle, o ile zwykła wesołość bywa objawem bezmyślności — ale co do mnie, uważam wszelkie świąteczne obchody za szopkę, dobrą dla dzieci, albo ludzi pierwotnych, a ani do jednych ani do drugich nie życzę sobie się zaliczać. Smutną bynajmniej nie jestem, a że wolałabym nie ubierać tego drzewka, to może tak jest — ale dlatego, że uważam to za wyrzucone pieniądze, któreby można użyć na nakarmienie tych, co może dziś kawałka chleba nie będą mieli, a tymczasem tych pieniędzy się używa na ugruntowywanie w dzieciach zamożniejszych skłonności do zbytku i przesądów.

W miarę jak mówiła, przekonała nie swego interlokutora, ale siebie i zacząwszy perorę głównie, aby się wydać czem innem, niż jemu się zdało, skończyła z przejęciem, upoiwszy się własnemi słowami i zapomniała z jakim zapałem sama ku-

powała owe przedmioty zbytku, pomagała do owego wyrzucania pieniędzy, i z jaką przyjemnością myślała o tej niespodziance malców, jak oddawała się wspomnieniom ubieranej niegdyś dla siebie choinki, potem tej, którą już sama zdobiła dla młodszego rodzeństwa.

Roman uważnie patrzał na tę metamorfozę, ale i to widział, bo polski typ Leonki doskonale pozwalał czytać w twarzy wrażenie, że i wtedy i teraz dziewczyna była—sobą.

Człowiek trzeźwy byłby się zdziwił, a nawet zgorszył, tą niestałością zasad—artysta zrozumiał, a rozumieć—to przebaczać.

— Może to słuszne, co pani mówi. W obec tylu głodnych jest zapewne złem używać każdego grosza nie na konieczną potrzebę, możnaby może ubierać drzewka taniej—ale czy to także nie jest konieczną potrzebą przechowywanie pamiątkowych zwyczajów, uroczystych obchodów, słowem ubierania tego smutnego życia w trochę kwiatów, poezyi? Jakże życie byłoby smutne bez tego, pospolite! I widać,

że to jest potrzebne, kiedy każdy człowiek ma chwile, do których się zwraca ku tej poetycznej stronie życia i nie samym chlebem żyje.

— To tylko dowód, że w każdym człowieku, odzywa się czasem dziecko lub człowiek pierwotny, tak jak podobno w każdym odzywa się czasem zwierzę — to kwestya dziedziczności. Ale jeżeli hodowla może dokazać tego, aby cechy nabyte z czasem przeważyły wpływ cech odziedziczonych, tak i kultura ludzi musi dojść do tego, aby zniszczyć cechy niższe a dać się wytworzyć tylko wyższym. Od czegoż postęp cywilizacyi?

Leonka zła była na siebie, że rozpoczęła rozmowę z p. Romanem, *artysty* można się było spodziewać. Zawsze będzie bronił poezyi, sztuki, bo inaczej zamiast lepić te swoje *sarmatki* wziąłby się do czego innego.

Przecież żeby garnki lepił z tej gliny, w oczach Leonki byłby użyteczniejszym członkiem społeczeństwa, niż choćby stworzył arcydzieło — ale trudno mu to tak w oczy powiedzieć, zwłaszcza przy

pierwszej znajomości i zresztą słyszał on od matki i braci nieraz słowa prawdy o swoim zawodzie, a jednak go nie rzucił. Przynajmniej oni mają prawo go potępiać w oczy, bo sami pracują pozytywnie, ale Leonka? Cóż zrobiła dla kogo w życiu— co społeczeństwu po niej? Ten przynajmniej za te tam swoje posągi ma utrzymanie, ponieważ są ludzie głupi, których bawią kamienie o kształtach ludzkich i kupują je—a ona jest zupełnym darmozjadem, bo rodzice dotąd płacą za jej utrzymanie.

Chciała mu dać przykład trzeźwości sądu i ganić jego kierunek, a coby było, żeby spytał: „Coś ty za jedna, zarozumiała dziewczyno?“ W porównaniu z nią on pewno nie tracił — a w dodatku, o ileż był lepszym. On ją od pierwszej chwili poznania chciał pocieszać, rozumiał jej uczucia, jako prawie obcej w rodzinie jego—a ona ładnie mu odpłaca, raniąc jego miłość własną i odzierając z uroku te chwile, o których on marzył na obczyźnie i śpieszył, jak ptak do swego gniazda.

W tej chwili posłyszała kroki i głosy

w kuchni. To p. Bielska wróciła. Leonka pomyślała, ile goryczy przyniesie temu marzycielowi powitanie z matką. Ona pewnie obleje zimną wodą rozsądku jego serdeczne zapały. I choć sama tylko co nie była lepszą, dałaby wiele za to, aby matka przyjęła Romana tak, jak jej droga mateczka. Coraz bardziej żal jej było tego nierozsądnego idealisty.

Na wszelki wypadek chciała go chociaż przygotować.

— Zapewne prędko wróci ciocia. To się ździwi i ucieszy, zobaczywszy pana. Tylko swoim zwyczajem będzie udawała, że nierada, gotowa utrzymywać, że pan niepotrzebnie przyjechał—to jej słabostka udawać materyalistkę, pozbawioną wszelkich uczuć — a tymczasem jest wręcz odwrotnie. Żeby pan wiedział, co się nagadała, jak pan przysłał depeszę na jej imieniny. Kpiła, żartowała i złościła się— a tymczasem widziałam doskonale, że tylko dlatego, aby nie pokazać, że miała łzy w oczach z początku ze strachu, czy nie zła wiadomość, a potem z rozczulenia, że pan o niej myślał. O i teraz czuję, że bę-

dzie burza — ale w duszy jakaż będzie szczęśliwa!

— Doprawdy? Tak pani myśli. Więc mamie miła jednak była moja pamięć?

— O, tak. Wtedy i ja dostałam, bo przyniosłam kilka kwiatków na wiązanie. Wyśmiała mię przy wszystkich, a jednak ukradkiem, żebym ja nie widziała, zmieniła tym kwiatkom wodę, aby jak najdłużej trwały, a potem widziałam jednę z róż razem z pańską depeszą schowaną głęboko w szufladzie—na pamiątkę. Ale niechby kto jej to zdradził, że wie, wyrzuciłaby pamiątki i wyparłaby się. O ciocia ani wie, jak ja ją znam.

— Prawda, i mnie się zdaje zawsze, że mama pozuje tylko na taką kamienną istotę. Kocham ją jak matkę i uwielbiam jej siłę charakteru, bo coby się z nami stało, gdyby nie jej praca i żelazna wola— ale, jednak są chwile, kiedy człowiekowi tak trzeba blizkiego serca, że dużo dałby za to, aby mieć w niej nie matkę — spartankę, ale taką zwykłą, co to i kocha, i rozumie i przebacza i pieści...

O, wiedziała Leonka dobrze, że są takie

chwile i sama doznawała ich goryczy, ale postanowiła być dobrą dla Romana i wmówić w niego to, co mu wyjdzie na dobre.

— Pan zamało jest z matką, i niedobrze ją ocenia. Jak się zna takie charaktery, wie czego od nich się spodziewać, to najmniejsza serdeczność z ich strony milsza, niż masa czułości od tych, którzy wiecznie mają w pogotowiu słodkie frazesy. Tak i ciocia, nie całuje, nie pieści— ale dałaby się poćwiartować za pana.

— Pójdę ją uprzedzić, że pan przyjechał.

I wybiegła do kuchni nie tyle dla wezwania pani Bielskiej, ile dlatego, aby właśnie nie być świadkiem powitania.

— Ciociu! Mamy gościa, — zaczęła.

— A toż znów co? Potrzebny kłopot, ja i tak niemam czasu wytchnąć...

— Ale to miły gość! ciociu. Pan Roman przyjechał. Już nawet długo czeka. Ja pomogę Marcesi, niech ciocia się nacieszy synem...

— O to szczególniej! nacieszy! Niewiem czem! Potrzebnie leciał tyle świa-

tu, kilkadziesiąt rubli wyrzucił na drogę, i po co? Aby święta na łonie rodziny spędzić!... Nie mazgajstwoż-to? Bo jestem pewna, że dla tego przypędził...

Ale jednak ocierała śpiesznie ręce z mąki, do której przed chwilą się brała i prędko szła do jadalnego pokoju.

— Nie wstyd tobie tracić czas i pieniądze, aby lecieć na święta?—zaczęła od gderania — ale Roman nie dał jej skończyć, podbiegł, pochwycił w objęcia i osypywał pocałunkami twarz i ręce...

— Daj-że mi pokój—udusisz mię, puść! Cierpieć nie mogę tych babskich sentymentów! Co z ciebie za mężczyzna!

I odtrącała go, ale jednocześnie poprawiała zwichrzoną w tych uściskach jasną czuprynę i z upodobaniem patrzyła na dzielną postać.

— O przepraszam nie dosyć! — przekomarzał się Roman —kiedy mama mówi, że wyrzuciłem kilkadziesiąt rubli na przyjazd, niechże choć użyję za moje pieniądze. Nie, ale naprawdę, niech się mama nie gniewa, musiałem przyjechać tak tęskniłem za wami i za krajem — a nawet

mam interes, bo chcę wystawić w Towarzystwie moją ostatnię robotę. Przedewszystkiem chciałem to pokazać w kraju, u nas...

— Och, ważna rzecz—bardzo wzbogacisz kraj, że do niego sprowadzisz trochę tej gliny! Dopiero czyn obywatelski!

— Mamo! — z wyrzutem zawołał Roman i od razu stracił wesołość, serdeczność, a w myśli coś mu szeptało.—Prawda, po co ja tu leciałem, kiedy my się nigdy nie zrozumiemy...

Pani Bielskiej widocznie żal się zrobiło syna. Odwróciła rozmowę.

— At, co tam! Ja się na tem nie znam, to nie lubię o tem mówić. Jesteś pełnoletni, robisz jak chcesz. Tylko te wszystkie idealności, to nie mój wydział. Oto lepiej powiedz, gdzie twoje rzeczy, abym cię ulokowała tymczasem, boś może zmęczony, to odpoczniesz.

— Ja stanę w hotelu, mamo, pocóż mam robić kłopot, tylko tymczasem zaszedłem, bom chciał prędzej obaczyć się...

— Co znowu za koncept? w hotelu!— na to nie pozwolę, chłopcy nasi mają po-

kój duży, trzecie łóżko stanie wygodnie. Niema o czem mówić. Jabym pozwoliła żebyś stał w hotelu i otruł się jeszcze tem ich jedzeniem.

Ta troskliwość rozpogodziła czoło Romana. Uśmiechnął się.

— Przecież zawsze temi truciznami żyję zagranicą!...

— No, ale tam mnie niemasz, to co innego. Zresztą, chciałeś rodzinnej atmosfery, to się nią naciesz—to ci się na drugi raz odechce tych czułości. Gdzie masz swoje rzeczy — dawaj i chodź do pokoju braci, bo ja niemam czasu z tobą się targować. Nic na wieczerzę nie zrobione jeszcze, a biesiadników przybyło.

— Może ja się na co przydam?— będę obierał rodzynki, albo coś równie przyjemnego. Już tu pomagałem p. Leonii ubierać choinkę.

— Obejdzie się bez twojej pomocy. Mężczyzna nic prawdziwie pożytecznego nie jest w stanie zrobić. Na tem by się skończyło, że ty byś oczy zawracał do Leonki— a Marcesia do ciebie. To bar-

dzo by przyśpieszyło wieczerzę, rzeczywiście!

Skończyło się na tem, że Roman wyszedł na miasto poszukać braci, a kiedy wrócili wszyscy razem, już się pani Bielska z Leonką krzątały koło ustawienia w przechodnim pokoju stołu i czekały z wieczerzą.

Romana ogarnęło rozczulenie, a Adam wpadł w zwykły zapał do drwin, na widok przygotowań.

— Oho, cóż to za patryarchalna uczta! Co za nastrój uroczysty! Jest i siano i opłatki, a pewno, jeśli mię węch i przeczucie nie mylą, będzie barszcz z uszkami i wszelakie ryby i t. p. i t. p. Co mamie się stało? Czy to reakcya na stałe? To i owszem, to bardzo smaczna uroczystość!

— Adam!— odezwała się ostro p. Bielska — chyba tyle rozumiesz, że ani dla ciebie ani dla siebie tego nie robiłam. Mam w domu dzieci obce i te powinny mieć wszystko tak, jak w domu rodziców, a więc i rozmów takich i uwag słuchać u mnie nie będą. Bo ja podjęłam się pilnować ich promocyi i ich żołądków —

a nie ich poglądów. A mam zwyczaj spełniać moje obowiązki. Uprzedzam, że przed dziećmi żadnych krytyk nie pozwolę — a jeśli cię ten obchód razi — możesz zjeść obiad w swoim pokoju.

— Czego razi? mnie to tylko bawi, tembardziej, że mama w roli arcykapłanki. Jak mama chce, mogę milczeć, to nawet będzie bezpieczniej przy rybie.

Pani Bielska sprowadziła tymczasem uczniów oraz dwie stolarzówny, i bardzo ceremonialnie zaczęła się z nimi dzielić opłatkiem. Chłopcy byli uradowani, całowali ciocię po rękach i łakomemi oczami śledzili ogromną struclę z makiem, zdobiącą środek stołu, a stolarzówny może wtajemniczone przez Marcesię w sekret choinkowy, ciągle spoglądały na zamknięte drzwi jadalnego pokoju.

Leonka cały dzień krzątając się dla pomocy ciotce nie doznawała żadnych tęsknot zwykłych — ale teraz, na widok tego stołu i łamanego opłatka opanowało ją takie wzruszenie, że łzy dławiły ją w gardle i zasłaniały oczy. Na domiar p. Biel-

ska podeszła do niej z opłatkiem i z miną jowialną:

— No, czego tobie życzyć moja Leonko? abyś za rok już w Zurychu była o tej porze, a tam nie będziesz miała kłopotu pomagania ciotce do sporządzania wieczerzy?

Leonce w tej chwili wspomnienie Zurychu jeszcze gorzej zrobiło. Tak, więc niejedne jeszcze święta takie spędzi wśród obcych, obojętnych! W tej chwili nie pamiętała, że to przecież marzenie jej, że sama tego chce i pragnie—że to droga do zdobycia nauki—teraz wiedziała tylko, że jej smutno, że niechce myśleć ani o medycynie ani o Zurychu — a tylko o tych drogich blizkich, którzy w tej chwili łamiąc opłatek, pewno łzami skrapiają tę cząstkę, którą jej przyślą w liście. Chciałaby schować się w kąt i módz się wypłakać swobodnie, a bała się na siebie zwrócić uwagę.

Wszyscy zasiedli do stołu i zajadali zapowiedziany barszcz. Nikt o Leonce nie myślał. Tylko po chwili p. Roman się odezwał:

— Takie uroczystości mają tę złą stronę, że zamęczają tych, którzy spełniają rolę ewangelicznej Marty. Kuchenne wyziewy to coś zabójczego. Mama i panna Leonia mają tak przez dym wygryzione oczy i gorącem rozpalone policzki, jakby, niewiem jak były wzruszone. Niestety, wiemy co o tem sądzić i nie łudzimy się—ale że to się skończy okropnym bólem głowy, jeśli panie nie dadzą odpocząć swoim płucom od tych zapachów potraw, to ręczę. Panno Leonio, jako przyszła lekarka, proszę zacząć od siebie. Nic pani nie straci, jak potrawy trochę ostygną, doktorzy zalecają nie jeść gorącego — a proszę pójść do naszego pokoju i postać trochę w otwartem oknie.

O, jakże mu była wdzięczna za ten pomysł. Wstała zaraz i skierowała się do pokoju. Poszedł za nią, oświecając przejście zapałką.

Nie wstydziła się w tej chwili, że ją zrozumiał, ale była mu niezmiernie wdzięczna. Jaka szkoda myślała, że to nie wypada pocałować go w rękę i podziękować— takąby miała ochotę.

Przyprowadził ją do otwartego okna i narzucił swój pled na jej ramiona.

— O jaki pan dobry, — jak ja panu dziekuję! I pokazała mu w świetle zapałki pełne łez oczy.

— Ach, dziecko, dziecko! A odgraża się to! — wyszeptał głosem wzruszonym i śpiesznie wrócił do stołu.

Wieczerza złożona z kilku potraw ciągnęła się długo, zwłaszcza, że usługa pozostawiała wiele do życzenia. Leonka miała czas uspokoić się, ochłonąć, a także... myśleć o panu Romanie.

— Jaki on jednak jest inny od braci, a nawet od matki. Czyby komu z nich przyszło na myśl troszczyć się, co się w czyjej duszy dzieje? Co to za serce! Przecie ma ich tu swoich, blizkich, kochanych—ja niczem nie jestem dla niego, a jednak nikt o mnie nie pomyślał, tylko on. Jaka szkoda, że on nie został np. lekarzem!—z taką naturą delikatną, byłby nieoszacowany dla chorych. Adam może być dobrym chirurgiem, ale on będzie widział przedewszystkiem chorobę, a ten widziałby chorego.

I tak pan Roman pomaleńku zaprzątnął jej myśli, że już wspomnienie o domu i rodzinie mniej gorzkie budziły uczucia.

Ale i on pamiętał o swojej protegowanej. Przy wieczerzy rozmawiał dużo, opowiadał jak się spędza Boże Narodzenie w Rzymie, jak w Niemczech, bo i tam mieszkał lat parę — a kiedy parę razy Adam był blizki wpadnięcia w zwykły swój ton, zręcznie zagadał go, tak, że nie dał przyjść do słowa. Nareszcie, kiedy się pojawił ryż i mak oraz kompot z suszonych owoców p. Roman poszedł po Leonkę.

— Dość już odpoczynku, wołał przeze drzwi, proszę panno Leonio do roboty! Nasza wspólna praca teraz się musi pokazać, wie pani o czem mówię?

I zaprowadził Leonkę wprost do jadalnego pokoju, gdzie prawie wesoła i spokojna zabrała się z nim razem do zapalania choinki.

— Teraz ostatni akt, panno Leonio, trzeba zakolendować przy drzewku i zaintonował „W żłobie leży". Pierwsza zwrotka poszła dobrze, ale już przy dru-

giej głos odmówił Leonce posłuszeństwa. Opanowało ją rozrzewnienie tak silne, że znowu łzy były niedaleko, tylko na szczęście gwar uradowanych dzieci, wprowadzonych do jadalni i ironiczne winszowania Adama powróciły jej panowanie nad sobą. Ale zarazem sprowadziły reakcyę. Leonka znów była z siebie niezadowolona, że się dała unieść nerwom i okazała się wobec Adama tak zacofaną. Czyż nie zgroza! ona, przyszła studentka medycyny, osoba gardząca przesądami, nazywająca *szopką* wszelkie obrzędy—oto z zupełnem przejęciem podjęła się całej *mise en scène* jednej z takich szopek, śpiewa pieśni kościelne i rozczula się tem wszystkiem do łez, jak stara dewotka.

A to wszystko zawdzięcza Romanowi. Sam mazgai się, jak sentymentalna panna i ją naraził na śmieszność, jeżeli nie gorzej, bo na pogardę tych młodych, mających odwagę swoich przekonań. To też przez resztę wieczoru Leonka nie zwraca uwagi na Romana, a bierze gorliwy udział w rozmowie, która po odejściu uczniaków do swego pokoju, przybiera jak zwykle

w tym domu charakter polemiki w kwestyach naukowych.

— Naturalnie Adam i Stefan wynagradzają sobie kilkogodzinny przymus i wytaczają na stół dysputę o dzisiejszej uroczystości, w której matka, tak, zdaniem ich, postąpiła niezgodnie ze swemi przekonaniami, a chociaż pani Bielska kategorycznie oświadcza, że ma przekonania dla siebie, a nie dla tych bębnów i że przekonaniem jej jest właśnie, że dzieci trzeba chować po *staremu*, ale że stosy niemytych talerzy i sztućców czekają w kuchni na jej pracowite ręce, ustępuje z placu boju, zostawiając młodzież w zapale dowodzeń.

Roman broni sprawy biednej „wigili Bożego Narodzenia“ jak może, ale siła złego trzech na jednego, bo i Leonka staje po stronie radykalnych wymagań Adama, a im bardziej słowa Romana działają na jej serce i wyobraźnię, tembardziej broni się od ich wpływu sama przed sobą głośnymi argumentami racyonalizmu. Dysputa ciągnie się długo; wszyscy jak zwykle, zostają przy swojem zdaniu, z wyjąt-

kiem Leonki— która sama przed sobą nie potrafiłaby powiedzieć co jest jej zdaniem, czy to co czuje, czy to co uznaje. Od dzieciństwa przywykła do wewnętrznej rozterki—ale tak silnej nie odczuwała nigdy i ma w duszy żal do Romana, jak do kogoś, ktoby pobudził w jej duszy jakieś głosy, które ją dręczą, a które ona z takim trudem uśpić potrafiła.

Kilka dni świątecznych w mieszkaniu pani Bielskiej panuje rekreacya. Panowie studenci i Leonka jakkolwiek w zasadzie przeciwni świętom, w praktyce godzą się z istniejącym porządkiem rzeczy i próżnują—jak wszyscy.

Pogoda śliczna przystroiła i miasto odświętnie w białą, puszystą szatę, osypaną brylantami. Doczekano się sanny, mrozu, i co żyje rusza się na ulicach. Wszystko co bywa w mieście brudne, szare, odarte, zmieniło się na korzyść. Mróz i śnieg pokryły niedokładności w brukach, domach— a święta przystroiły nawet największych nędzarzy. Jedni dostali w Towarzystwie dobroczynności trochę odzieży „na gwiazdkę“, inni własną odzież wy-

świeżyli jak mogli, dość, że bijącej w oczy brudem i łachmanami nędzy nie spotyka się wcale i nic nie psuje wesołego nastroju spacerującym filistrom.

Każdy wychodzi na ulicę już nie jak zwykle, aby śpieszyć, rozpychając innych, do jakiejś pracy, zarobku — ale, aby się przypatrzeć wesołym twarzom, postrojonym postaciom i—siebie im również pokazać. Ulica w święto to wystawa powszechna mieszkańców. Od sytych i wypoczętych przedstawicieli high-lifu, rozpierających się na poduszkach w otwartych landach; od postrojonych w eleganckie futerka i zawadyackie kapelusze mieszczek średniej klasy, prześlizgujących się szybko w sankach przez najbardziej uczęszczane ulice; do ubogich kancelistów odzianych w modne, a wiatrem podszyte palta, i szwaczek maskujących za pomocą fantastycznych kapelusików i oryginalnych futrzanych kołnierzy, przewiewność reszty odzieży—wszystko wylega na ulicę zobaczyć ludzi, wystawy, stroje i... pokazać siebie.

Pani Bielska z Leonką i synami także

używa świąt przeważnie poza domem, o ile na to pozwala skrępowanie uczniami. Dziś malcy zostali zaproszeni do rodziców któregoś kolegi z miasta i tam cały dzień spędzają.

Roman proponuje pójść całem towarzystwem na wystawę Zachęty.

— Czy już przyszło twoje *arcydzieło*, ironicznie pyta Stefan?

— Nie, moje *arcydzieło* zobaczycie sobie później. Dziś tam jest nowy obrazek Zygmunta—żenował się sam wam o tem mówić, a wiem, że przyjemnie byłoby mu, gdybyście zobaczyli. Wiem, że chodziło mu o zdanie mamy.

— O, to już blaga, co się zowie! — zawołała p. Bielska — ja się tyle znam na sztuce, co kura na pieprzu — ale wierzę, że mu chodziło, abym ja poszła, bo wie, że ja tylko dla Leonki towarzystwa chodzę na takie rzeczy, tylko choć taki twój przyjaciel, nie przyznał się otwarcie do swej słabej strony.

— Rozumie się!—-zaśmieli się obaj studenci—przecież to cichy wielbiciel panny

Leonii. Może tam zobaczymy panią sportretowaną na jakim obrazie?

— Niema obawy — wszakże Zygmunt pejzażysta i to tak jednostronny, że nigdy nie umieszcza ludzi na swoich krajobrazach, utrzymuje, że natura powinna sama przemawiać do widza. Więc jakże, idziemy?—zapytał matki.

— Jak chcecie.

— Ja, ciociu, wolałabym zostać w domu, odezwała się Leonka dotknięta tem prześladowaniem ją Zygmuntem. Głowa mię trochę boli.

— O, to już wykręty!—zawołał Adam. Czyż tak wielkiego wrażenia dozna pani na widok obrazu swego wielbiciela, że aż niechce nas mieć za świadków. Proszę z nami ostrożnie, bo powiemy Zygmuntowi o tym oporze i o tych rumieńcach — dodał patrząc na czerwoną ze złości i zmieszania Leonkę.

Nie on tylko patrzał na te rumieńce. Roman spoglądał na nią, jakby mu nową pokazali istotę. Zaczął myśleć o niej. Więc to jest ideał Zygmunta? Dobry ma gust. Nie jest ładna, ale coś w niej jest

miłego. Oryginalne, że to on ją wybrał, bo ona doprawdy robi wrażenie krajobrazu wiejskiego. Pierwej robiła na mnie wrażenie dziecka, udającego starszą osobę—ale to nie to; on mi dopiero oczy otworzył: ona jest tylko tak wiejsko-świeża, czysta jak woda w strumieniu. Czy też i ona się kocha w Zygmuncie? Toby dobrze było. Zygmunt zacny chłopak, choć trochę bez charakteru; a dla niej świetna partya. Będę robił u niej jego interesa, a zarazem poznam ją lepiej, bo może ta przezroczysta woda, to z tych cichych wód... toby mi szkoda było bezinteresowności Zygmunta. Chociaż jej dobrze z oczu patrzy.

Ta zamierzona pomoc koledze w sprawach sercowych i studya bliższe nad przedmiotem jego afektów, niewiele widocznie wymagały poświęcenia, bo z rozjaśnioną twarzą i widoczną przyjemnością począł gorliwie namawiać matkę i Leonkę na zwiedzenie wystawy.

W końcu pani Bielska zdołała namówić Leonkę.

— Moja kochana, zobaczysz, że chłop-

cy nasi na figla tobie opowiedzą Zygmuntowi, żeś się tak broniła od pójścia— a mężczyzna każdy jest tak zarozumiały, że pewnie na swoję niekorzyść sobie tego nie wytłómaczy. Będzie pewny, że tak bardzo ciągle o nim myślisz, jakbyś nie miała co lepszego do roboty. Na tych dudków najlepszy sposób: nie zwracać na nich uwagi, inaczej wszystko na swoją korzyść obrócą.

— Już nigdy odtąd nie odezwę się do pana Zygmunta!—wybuchnęła Leonka ze złością.

— Ot i najgorsza taktyka! Powie sobie, że się boisz własnych uczuć, albo że to odrębny gatunek kokieteryi. Na wystawę chodź i rozmawiaj, jakbyś o tych jego sentymentach nie wiedziała. Ważna rzecz, że się taki jeden głupiec w tobie kocha.

Leonka podrzuciła głową i wydęła wargi z miną, która miała znaczyć: dobrze cioci mówić! ale zgodziła się pójść.

— O, jak to dobrze!— zawołał wesoło Roman. Muszę przyznać, że cel uświęca środki: mama wylała na ród męski całe,

że się tak wyrażę, wiadro pomyj moralnych—ale rezultat wynagradza ten środek: spędzimy przyjemnie razem parę godzin.

Adam tymczasem mrugnąwszy na Stefana, wyciągnął go do swego pokoju.

— Słuchaj Stefek — możesz mi zrobić przysługę?

— Byle bez udziału pieniężnego, bom goły, jak święty turecki.

— Nie, trochę fatygi.

— Naprzykład...

— Rola posłańca.

— Niezaszczytne — ale przez pamięć Merkurego...

— No właśnie! Słuchaj, chcę skorzystać z tego zwiedzania bohomazów, które mię nic nie obchodzą...

— Mnie również. Co oni wyrabiają z roślinami na obrazach. Róże i pokrzywy jednakowo wyglądają, jak badyle; patyk i na nim kolorowa czapka, to ma być kwiat!

— Dobrze, dobrze — teraz nie oburzaj się, bo ja śpieszę. Otóż chcę naznaczyć małą randkę Izie na wystawie.

— To sobie sam naznaczaj, ja się na

tem nie znam—nie podejmuję się tego poselstwa, pomimo precedensu Merkurego...

— Ależ proszę cię, co ci szkodzi. Ja tam nie mogę się pokazać, bo te stare coś zmiarkowały...

— Co za stare znów?

— A no te stare u Izy. Jest tam mama i babunia, obie z epoki przedhistorycznej, kopalne okazy, obejrzały się, że coś za gorliwie odprowadzam Izę po ciemnych schodach, no i oddaję i dobranoc — rozumiesz? teraz ani mi się pokazać, bo Izy nie puszczą.

— Dziękuję ci, to i mnie wyleją — a niewinnie cierpieć tem przykrzej.

— Nie. Zadzwonisz, wyjdzie który z tych mamutów, powiesz poważnie, że mama idzie dziś na wystawę i proponuje panienkom swoją opiekę. Będą pewne, że takie *decorum* nie ja wymyśliłem bo to do mnie niepodobne. No i panny przyjdą, a wtedy daruję ci Marynię...

— Co za wspaniałomyślność! Ale kwituję...

— Widzisz! No, jakże?

— A cóż, pójdę—ręka rękę myje, mo-

że ja kiedy dostanę bzika, to ty mi też oddasz jaką przysługę...

— Porządne *homo* jesteś—tylko śpiesz, żebyś je zastał. A wal stamtąd na wystawę. Ja idę po Ignacego, bo na ciebie liczyć, że Marynię wydzierżawisz, to darmo—a tamten do takich rzeczy jedyny.

— To i owszem, w takim razie nie pójdę do Zachęty. Co mam sobie psuć krew. Wyprawię ci panny i wracam...

— To twoja rzecz! Byleś załatwił poselstwo. Odsłużę ci.

Stefan ruszył urządzać randkę bratu, a Adam w dobrym humorze, zamówiwszy po drodze Ignacego, towarzyszył z Romanem matce i Leonce.

Roman wszedł w swoją rolę przyjaciela Zygmunta i całą drogę rozmawiał z Leonką. Szli naprzód i Adam nie mógł słyszeć ich rozmowy, ale Leonka często odwracała twarz, aby towarzysz nie widział jej zmieszania i tym sposobem poddawała swój profil pod obserwacyę Adama. Patrzył złośliwie na jej zakłopotaną minę i porównywał w myśli z Izą.

Porównanie wypadało na korzyść tej

ostatniej, co łatwe było do przewidzenia. Adam właściwie zakochany nie był, ale Iza odpowiadała doskonale typowi kobiety postępowej, wedle jego mniemania.

Za jedyny czynnik zbliżenia dwóch płci uznawał zmysły, a Iza była bardzo ładna i umiała swoją piękność wyzyskać; uznawał, że jako kobieta dostatecznie *działa* na niego, przekonał się o tem, kradnąc parę razy całusy na schodach, pod pretekstem odprowadzania do domu. Iza zaś jako *człowiek* też zadowalała go zupełnie, gdyż powtarzała wiernie wszystkie jego zdania, zasady i niewiadomo, czy on te zdolności papuzie brał za intelligencyę, czy też był dość zarozumiałym, a próżnym (co zwykle w parze chodzi) i cieszył go ten kult bezkrytyczny jego osoby — dość, że Iza została jego wybraną.

Nie występował w roli starającego się, bo najpierw to było przeciwne jego zasadom, należało do wysortowanych zabawek ludzkości — powtóre, stare mamuty, jak mianował opiekunki Izy, nie uznałyby go za epuzera, bo nie posiadał jeszcze

stanowiska. Tymczasem odbywał konkury na swój sposób, uwzględniający stanowisko Izy i jako *kobiety* i jako *człowieka*.

Mina Leonki irytowała go.

— To także rodzaj kopalny! — myślał o niej. Wybiera się to na uniwersytet, a spuszcza oczy, jak zakonnica. Ona pewno rumieni się, patrząc na aniołki nie dość dostatnio poubierane na świętych obrazach. Co za porównanie do Izy! Tamta rozumie życie. Kiedy raz wzięła za hasło postęp, to wie, że praw natury niema się czego wstydzić i zapierać! A jednak i tej szkoda, bo głupia zupełnie nie jest— tylkoby trzeba, żeby ją kto *rozwijał*, a tymczasem lgną do niej tacy jak Zygmunt albo Roman. Oto poznał swój swego!

Na wystawie nie było jednak jeszcze obiecanych przez Stefana panien. Humor Adama na tem ucierpiał. Zły był okropnie, a widok Leonki gorzej go jeszcze rozdrażniał. Ta jest, która mu na nic nie potrzebna, a Izy, ani słychu! Chciałby

na kogoś złość swoją spędzić. Dojrzał Ignacego i zbliżył się do niego.

— Cóżeś taki słodki, jakbyś się octu napił?—odezwał się Ignacy.

— At, daj spokój, wściekły jestem — prosiłem, żebyś mi pomógł, a tymczasem te nie przyszły. Taka dobra była gratka, bylibyśmy je zabrali do nas na wieczór, gawęda, potem odprowadzilibyśmy — a tymczasem figa— za całą frajdę, widok cnotliwej Leonki. Ale czekaj, — dodał ożywiony nagle, zrobimy sobie rozrywkę. Widziałeś tę rzeźbę, świeżo sprowadzoną, na dole? Arcy-grecka grupa młodzieńców nieubranych, oglądałem to ze stanowiska anatomicznego, sądzę, że przyszłej adeptce medycyny należy to pokazać, co? Zobaczysz *tableau!*—dodał zjadliwie.

Ignacemu bardzo się projekt podobał. Podeszli do Leonki, ofiarując się pokazać ciekawe obrazy. Leonka, uciekając od rozmowy o Zygmuncie, chętnie poszła z nimi.

Romana jednak uderzył wyraz twarzy tych opiekunów, poszedł za nimi i widząc kierujących się ku oddziałowi rzeźb, do-

myślił się, jaką sobie obmyślili zabawę. Dogonił Leonkę, kiedy już wchodzili do sali.

— Panno Leonio, mama woła, prędko, prędko! — i prawie szorstko pociągnął ją za rękę.

Spojrzała na niego zdziwiona, spostrzegła wzrok, którym mierzył brata i zrozumiała.

Znów jedna nitka zadziergnęła się między nimi i to nitka delikatna a mocna wdzięczności kobiecej, za poszanowanie czystości jej uczuć. Adam i Ignacy doczekali się nareszcie swoich towarzyszek i po zwiedzeniu wystawy, która nikogo nie obchodziła, ruszono do domu.

Całą resztę dnia Leonka była smutna. Bolało ją zrozumienie, że Adam i Ignacy tak rozmyślnie chcieli jej ubliżyć, a zarazem broniła ich sama przed sobą, że w ich mniemaniu to nie miało może być ubliżenie, ale owszem objaw równouprawnionego koleżeństwa. Nic jednak te sofizmaty nie pomagały i wdzięczne serce przechylało się ku Romanowi instynktownie.

Adam z Izą ciągle byli zajęci sobą, prowadzili bardzo mądre rozmowy, które właściwe były przyrodniczymi wykładami Adama — ale słuchaczka tak *umiała* zajmująco słuchać, płacąc za wykład wymownemi spojrzeniami, że się oboje bawili doskonale.

Stefan i Ignacy pomagali Maryni budować nowy system społeczny, ale tam mniej było harmonii między rozmawiającymi. Ignacy wszystko obracał w żart, albo z całej wolności w układzie społecznym chciał zostawić tylko *wolną* miłość— na co Marynia nie chciała przystać, obawiając się słusznie, jak w duchu złośliwie myślał Ignacy, że tak lichy towar nie wytrzyma konkurencyi, bez systemu protekcyjnego, którym jest dla miłości—małżeństwo. Stefan znów tak pedantycznie trzymał się socyologii Spencera, dlatego, że wypływa z biologii, iż dziwił się, co oni mogą mieć do mówienia w tej kwestyi, zamiast przytaczania wywodów Spencera—a tembardziej, że mogą jednocześnie wyciągać żarty z gry słów wypływające.

W tej więc grupie Stefan był w dobrej wierze wykładającym; a ci dwoje flirtowali, każde na swój sposób, przerzucając się jednocześnie frazesami brzmiącymi naukowo, ale z takim nastrojem, jakby rzucali wzajem na siebie „confetti“ lub kwiaty z wyzywającym uśmiechem.

Roman i Leonka pozostawieni byli sobie, podczas kiedy pani Bielska zajmowała się gospodarstwem domowem.

Zawsze z dobremi chęciami dla Zygmunta, Roman wyciągnął Leonkę na rozmowę, aby ją lepiej poznać. Tu, ku wielkiemu zdziwieniu Leonki, okazało się, że mnóstwo jest tematów rozmowy, które ich obojga jednakowo obchodzą, a co do których zgadzają się doskonale i co ważniejsza, że ów zacofany Roman, mógłby jej wielu wiadomościami zaimponować. Nie mówiąc już o tem, że zwiedził większą część Europy, a wszędzie umiał patrzeć na to, co jest najgodniejszego widzenia— ale historya i literatura były jakby drugą jego specyalnością, a może nie mniej ulubioną niż sztuka.

Dość, że Leonka tak dalece upodobała

sobie w rozmowie Romana, aż markotno jej było, kiedy się od czasu do czasu zwracał z jakim frazesem do Izy.

Widziała, że patrzył na Izę z artystycznym upodobaniem i jakoś jej to było przykro, to też kiedy wrócili do przerwanej rozmowy, a Roman rozpoczął ją wykrzyknikiem:

— O, jaka śliczna ta pani koleżanka czy i to przyszła lekarka?

Leonka zaczęła z przesadą unosić się nad powierzchownością Izy i twierdzić że jakkolwiek ta piękność wybiera się na uniwersytet—ale właściwie za piękna jest na to, ciągłe hołdy będą ją odrywały do nauki — że właśnie p. Zygmunt powinien był się w niej zakochać, albo jaki inny artysta.

— Zapewne, mógłby i jaki artysta zakochać się w tej panience, ale szkodaby go było— sztuka nicby na tem nie zyskała, bo to byłaby miłość bardzo chodząca po ziemi.

— Najpierw, że pan nie zna Izy, a powtóre zdaje mi się, że to zależy od tego

zakochanego, aby nie chodził po ziemi, cóż temu winien przedmiot?

— Winien? pewno, że nie — ale właśnie, że to zależy bardzo od przedmiotu, są osoby, a zdaje mi się, że panna Iza w ich liczbie, w których się tylko bardzo po ziemsku kochać można — a to dla artysty niepożądane. Zresztą zdaje mi się, że tu wszelki *artysta,* darmo by czas tracił, bo Adam, może zabezpieczając się od przyszłej konkurencyi koleżanki w fachu, zdobył już, jeśli nie jej serce, to wyobraźnię. Wyglądają na narzeczonych.

— Doprawdy? A ja nie zauważyłam. A może... Rzeczywiście najchętniej zwykle rozmawiają ze sobą.

— Tak, tak i to nietylko słowami, — ironicznie dodał Roman.

— Oni bardzo dobrze dobrani, we wszystkiem się zgadzają. Pewnie się będą bardzo kochali, bo zupełnie jednakowe mają przekonania, — naiwnie zapewniała Leonka.

Bardzo ją ucieszyło to odkrycie. Nie przyszło jej na myśl nawet, że może rada była, że Romanowi ze strony Izy nie bę-

dzie groziło niebezpieczeństwo. Pewna była, że ją cieszy, iż się tych dwoje dobrze dobiera i to tak zgodnie z postępem; dobierają się, bo mają wspólne zasady, przekonania, cele.

Leonka, dzięki swym studyom przyrodniczym, była aż nadto poinformowana o poglądach pozytywnych na istotę miłości i małżeństwa. Nauczyła się dość o zmysłach, popędach i t. p. Wierzyła święcie in verba magistri w to wszystko, póki chodziło o świat zwierzęcy; dla ludzi przypuszczała istnienie takich praw fizyologicznych, o ile stali na bardzo nizkim stopniu kultury — ale wszystkich ludzi ucywilizowanych, a więc i siebie, uważała za wyższych po nad takie popędy.

Nie lubiła myśleć o tem, czy się kiedykolwiek zakocha, czy pójdzie za mąż; uważała to za pensyonarskie głupstwo, zresztą miała się za brzydką i była pewna, że się nie może nikomu podobać. Jeżeli jednak przypuszczała dla siebie możliwość miłości, to naturalnie bardzo duchowej, platonicznej, opartej na braterstwie dusz i jednomyślności w poglądach.

Dowiedziawszy się, że Adam i Iza mają się ku sobie, cieszyła się ich miłością, biorąc ją naiwnie za jeden z dowodów, iż ludzie kultury łączą się pod wpływem wspólności przekonań, a nie żadnych bestyalskich popędów.

Myśląc o tem przypomniała sobie słowa Romana, że artysta kochając, nie powinien chodzić po ziemi — i rozumie się, wytłómaczyła je sobie po swojemu i znowu się ucieszyła.

Naturalnie, pocóż byłaby cała cywilizacya, gdyby człowiek nie różnił się od zwierzęcia.

Z przyjemnością przypomniała sobie, kiedy się wszyscy rozeszli, jak miło jej było rozmawiać z Romanem, jak w wielu rzeczach zgadzali się ze sobą i jaką miała dla niego mimowolną sympatyę. Ale też wkrótce zaczęła siebie krytykować.

— Otóż-to! Co ja właściwie jestem? Chorągiewka obracająca się za wiatrem, zero bez własnego, żadnego zdania! Kiedy słyszę wywody Adama, dałabym się porąbać za jego idee —a rozmawiając z Romanem, znowu z nim się zgadzam — coś

okropnego! Przecież ci dwaj —to dwa bieguny, jakim sposobem ja mogę z obydwoma się zgadzać? To dowód jaka marna ze mnie istota! Jakie nic umysłowe! Ja nigdy do niczego nie dojdę, niczego się nie nauczę i nikomu na nic się nie przydam!

Po tej rozpaczliwej konkluzyi wypłakała się gorzkiemi łzami i postanowiła trzymać się jednej drogi: nauk pozytywnych.

Nazajutrz, zgodnie z postanowieniem, zabrała się do powtarzania kursów z notatek swoich i cały dzień nie mieszała się do rozmowy, ale już następnego dnia zły los pokrzyżował jej dobre zamiary.

Roman przyniósł całą pakę książek historycznych, oddał Leonce z zastrzeżeniem, że dostał je specyalnie dla niej na bardzo krótko, bo tylko do końca świąt, a że to rzadkie dzieła o dziejach ostatnich stu lat, więc trzeba śpieszyć, chcąc skorzystać ze sposobności.

Leonce, aż się oczy zaśmiały do tak interesujących książek, zapomniała o nowem postanowieniu i oddała się z zapałem historycznej lekturze, coraz będąc narażona na komentowanie przeczytanych

rzeczy z niebezpiecznym turbatorem pozytywnego nastroju, Romanem.

Słowem Leonka przemarnowała świąteczne trzy tygodnie; całą duszą wchłaniała polityczne dzieje Europy i swojej ojczyzny; od wojen napoleońskich, pełnych świetnych epizodów, do nieszczęśliwych, bezskutecznych porywów szlachetnych zapaleńców; od Lipska do Nerczyńska — wszystkie chwile przeżywała w gorącej wyobraźni, towarzysząc bohaterom myślą i sercem.

Zato po świętach spostrzegła się, jak mało przez ten czas postąpiła w kierunku pozytywnym i z całym zapałem zabrała się do przerwanych studyów.

Tembardziej, że i egzamin był za pasem. Formalności już były załatwione, prośba podana, papiery złożone, a Leonka tymczasem chodziła wieczorami powtarzać potrzebne przedmioty, do jednej z koleżanek.

Była to poniekąd naukowa pańszczyzna, bo trzeba było kuć rzeczy dobrze znane i umiane, a tak pospolite, jak wszelkie elementarne kursa; kuć zaś trzeba

było, aby zdać. Każdy przecież myśli w języku ojczystym, biegle więc odpowiadać może tylko w nim bez przygotowania, że zaś egzamin trzeba było zdawać w języku państwowym, najłatwiejsze wiadomości stawały się trudnemi do formułowania w jasne odpowiedzi.

Ale tę pańszczyznę odbywała Leonka wesoło, bo egzamin to miał być jakby pierwszy etap na jej drodze. Patentu wymagały uniwersytety szwajcarskie, bez niego niemogła się zapisać na rzeczywistą słuchaczkę.

W każde popołudnie szła do koleżanki, tam zebrane w kilka przesłuchiwały się wzajemnie, nieraz śmiejąc się serdecznie z elementarnych pytań i odpowiedzi. One, które naprawdę, dzięki mnóstwu pochłoniętych książek, oraz litografowanym kursom pożyczanym od znajomych studentów, umiały może więcej, niż obejmował pierwszy kurs uniwersytecki, musiały z całą powagą *przepowiadać* sobie: granice Europy, rzeki i jeziora w Afryce; pamiętać, w którym roku miała miejsce 3-cia

wojna punicka, albo przerabiać zadania arytmetyczne.

Siedziały nad tem do wieczora i ciemno już było, kiedy Leonka wracała do domu.

Nasłuchała się nieraz o zwyczaju Don-Żuanów warszawskich asystowania samotnym kobietom na ulicy i w duszy bała się okropnie wracać wieczorami — ale od czegóż równouprawnienie? Na propozycyę pani Bielskiej, że będzie po nią przysyłała Marcesię, odpowiedziała oburzeniem, że można narażać Marcesię, która jest bardziej bezbronną, gdyż ona, Leonka, ani trochę zresztą się nie boi, bo niechby kto spróbował zbliżyć się do niej, no! toby popamiętał!

Przyczem bardzo rezolutnie zaciskała pięści i zapowiadała, że *palnęłaby* parasolem co sił nieproszonego asystenta.

Chodziła więc i wracała sama, a codzienny ten powrót z dość odległej ulicy, moralnie kosztował ją tyle, co sławne, z historyi *odwroty* wojsk; bo tak jak i historyczne odwroty, był ucieczką z usiłowaniem zachowania powagi i godności.

Zmiatała Leonka jak mogła najszybcej,

serce jej biło zarówno ze strachu, jak od szybkiego ruchu, ale podnosiła głowę do góry i patrzała przed siebie śmiało, jak osoba, która dlatego tylko śpieszy, że ma pilny interes. Dopiero wpadłszy na podwórko kamienicy, gdzie mieszkała w bocznej oficynie p. Bielska, Leonka zatrzymywała się, aby odetchnąć i nie zdradzić swego zmęczenia.

Rzeczywiście kilka tygodni przeszło, a Leonka nie doznała żadnej przygody. Czy powierzchowność jej nie znalazła amatora, czy chód śpieszny zniechęcał do ścigania, dość, że zaczęła spokojniej przebywać swoje powroty.

Pewnego wieczoru jednak, na skrzyżowaniu się ulic, posłyszała tuż nad uchem poufałą propozycyę:

— Idziemy w jedną stronę, razem weselej będzie iść—i czyjaś ręka sięgnęła po jej dłoń.

Leonce głos zamarł w piersiach, zapomniała o swojej broni, parasolu, o możności wołania na stójkowego, tylko dostrzegłszy pochyloną ku sobie nieznaną postać jakiegoś fircyka—bardzo nieboha-

tersko dokonała odwrotu, czyli zaczęła co sił uciekać.

Posłyszała za sobą kroki, to jeszcze jej dodało ostrogi — nie biegła, ale leciala przez pustą ulicę. Nareszcie usłyszała wesoły głos.

— Ależ panno Leonio, dość tych wyścigów, bo pani nie dogonię!

Osłupiała.

Roman biegł za nią.

Stanęła i patrzała na zbliżającego się, jak na zbawcę.

— No, cóż? Parasol przecież pani ma, ale jakoś w robocie nie był —zaśmiał się, podając jej ramię!

— Prawda! O, jakiż tchórz ze mnie. Ależ się nastraszyłam! Wie pan, że nawet niewiem, gdzie teraz jesteśmy, zupełnie straciłam głowę.

Była blada jak opłatek i nogi jej drżały—bez oparcia na jego ręku byłaby chyba upadła.

— Aj, prawda, prawda, jaki z dzieciaka tchórz! Proszę się dobrze oprzeć i pomalutku iść. Jesteśmy na dobrej drodze, ale jeszcze kawał do domu.

— To i dobrze. Ochłonę — nie chcę się zdradzić przed ciocią, bo by mi siłą narzuciła Marcesię, o to jeszcze gorzej. Teraz, jak się przekonałam, że to prawda, bałabym się o nią ogromnie. Ale skąd pan tu się wziął o tej porze?

— Wyszedłem się przejść trochę. Wypadkiem w tę właśnie stronę. Ale z sekretu przed mamą nic nie będzie, bo ja sam zdradzę, opowiem wszystko, nawet sromotną ucieczkę...

— O, proszę pana! To byłoby nieuczciwie, nie moralnie, narażać Marcesię Cóż zresztą mnieby się stało, trochę strachu i koniec.

— Mogę nie powiedzieć, ale nic darmo. —pod warunkiem...

— Jakim?

— Że pani zgodzi się, abym ja ją odprowadzał codzień do domu.

— Ależ, broń Boże! Pan ma zajęcia, to taki kawał drogi. Za nic na to się nie zgodzę. Dlaczego pan ma się dla mnie poświęcać. Zresztą to nawet niezgodne z mojemi zasadami, ja niby emancypantka, mam się nie módz obejść bez męs-

kiej opieki? Cóż znowu? Trzeba się przyzwyczajać, samej sobie dawać radę.

Już odzyskała spokój i bardzo rezolutnie potrząsała głową. Ale Roman nie da za wygraną, ironicznie zawołał:

— A, widziałem, widziałem, co prawda nie za pomocą obrony lecz ucieczki.

— At, raz się zdarzyło! A chodzę od kilku tygodni...

— Ba! chodzę... nie chodzę, ale latam— trzebaby ryzykownego Don Juana, żeby się chciał z panią ścigać.

— Skąd pan wie. Owszem, zawsze pomału idę, dziś tylko biegłam, bo późno —śpieszyłam na herbatę.

— Ale co tam! oto zapowiadam, że od jutra po panią przychodzę i koniec.

— Niech pan tego nie robi.

— Robię to samo od pierwszego dnia, w sekrecie przed panią i oto niechcąc zblizka iść, nie mogłem obronić pani strachu. Muszę się już przyznać do tej zdrady. No cóż teraz zgadza się uparte dziecko?

Leonce łzy stanęły w oczach.

Jaki dobry, jak delikatny! kiedy nikt się

o nią nie troszczył, nawet ciotka zgodziła się puszczać ją samą, on jeden myślał o tem, aby od niej odsunąć wszelką przykrość. Ileż czasu musiał czatować na nią zwykle, bo przecież nie codzień wychodziła regularnie o jednej porze.. Nie liczył nawet na wdzięczność, bo gdyby nie dzisiejszy wypadek, nie wiedziałaby, że czuwał nad nią zdaleka.

— O, jaki pan dobry, jak ja panu dziękuję.

— Więc zgadza się pani nareszcie?

— Muszę...

— Nie psuję mię pani uprzejmością.

— Nie chcę kłamać. Będzie mnie upokarzało to, że potrzebuję męskiej opieki. Pan Adam pierwszy będzie się śmiał...

— A toż dlaczego? Przecież sam odprowadza pannę Izę z siostrą do domu, jak są u mamy wieczorem.

— To co innego. One bawią u nas do północy, wtedy rzeczywiście straszno wyjść na ulicę— zresztą matka Izy nie pozwoliłaby jej bywać u nas, gdyby sama wracała. Iza ma bardzo zacofaną matkę, która zważa bardzo na różne „wypada.“

— Więc zresztą niech się sobie Adam śmieje — lepsze to niż zachorować z przestrachu lub przeziębienia, a tak biegnąc zimą, w ciepłem ubraniu, nie trudno się zaziębić.

Odtąd Roman przychodził o naznaczonej przez Leonkę godzinie i zabierał ją do domu.

Jeżeli zawsze lekcye te były nudne, to teraz, a zwłaszcza, kiedy zegarek przepowiadał, że za chwilkę służąca wejdzie i wywoła: po pannę Leonię przyszli — wydawały się jeszcze nudniejsze.

Śpieszyła, aby na nią nie czekał i wesoło gwarząc wychodzili na ulicę.

Z początku, chodzili dawną Leonki drogą, najkrótszą — potem, ponieważ na rogu zawsze Roman przypominał nierycerskie „podanie tyłu nieprzyjacielowi“ i proponował w tem miejscu wystawić pomnik „odważnej sarmatki.“

Leonka zaproponowała inną drogę i odtąd urozmaicali sobie powrót nietylko rozmową, ale spacerem przez coraz inne ulice.

Oświetlone ulice, ruch karnawałowy

na nich, wystawy zaopatrzone we wszystko, co mieszczański zbytek może zadowolnić, nastręczały przedmiot do ożywionych rozmów spacerującej pary.

Ale nadszedł dzień egzaminu i skończyły się wędrówki Leonki na lekcye.

Leonka wraz ze wszystkiemi koleżankami *kującemi* jednocześnie, szczęśliwie przebyła ten Rubikon i uradowana powodzeniem czekała tylko na wydanie papierów, aby je wysłać do Bernu, gdzie postanowiła się zapisać.

Pani Bielska uczciła patent Leonki herbatką, bardzo ożywioną. Ze zwykłych gości nie brakło nikogo, a nawet było jeszcze parę panien, także wraz z Leonką ubiegających się o świadectwo gorliwego *kucia*.

Wieczór ów był obfity w następstwa. Korzystając z ogólnej, ożywionej aż do hałaśliwości dysputy — Zygmunt oświadczył się Leonce. Widocznie spodziewał się innego rezultatu, bo po stanowczej, choć z płaczem przez bogdankę, wyrzeczonej, odmowie—tak się zmieszał i stracił głowę, że nie starając się upozorować swego za-

chowania, wyszedł nagle, zwierzywszy przyjacielowi swoje niepowodzenie.

Nazajutrz pani Bielska przypomniała sobie minę Zygmunta.

— Ale, ale, co to za mucha ukąsiła twego malarza, Romanie, wyleciał po angielsku, jak z balu?

Roman spojrzał na Leonkę, której gwałtowne rumieńce aż nadto zdradzały, że o nią chodziło.

— Pewno się z Leonką poróżnił o co, prawda?

— To więcej niż poróżnienie...

— Oświadczył się?

— I nie został przyjęty.

— Naturalnie, ponieważ wyszedł jak struty. Może jednak Leonko, źle zrobiłaś odmawiając stanowczo, bez wiedzy rodziców. Taka partya codzień się nie trafia. To bardzo bogaty chłopiec.

— Co? Ciocia może coś podobnego powiedzieć? A choćby był Krezusem, ja nie jestem do sprzedania. I to ciocia takie rzeczy mówi!

— Cóż! ciocia, ciocia...—przedrzeźniała p. Bielska. Przecież cię nie namawiam,

ani znajduję moralnem sprzedawać się, ale nie było czego śpieszyć.

— Niechże mi ciocia da spokój. Przecież ja za mąż nie pójdę.

— At! — machnęła ręką pani Bielska, jakby chciała powiedzieć: co ty wiesz! ale rzeczywiście chwilowo dała za wygraną. W gruncie rzeczy nie chodziło jej wcale o swatanie Zygmunta Leonce. Przejęta sama kwestyą t. z. emancypacyi kobiet, a zrażona własnem smutnem doświadczeniem do małżeństwa w ogóle, nie zajmowała się nigdy kojarzeniem par, co, jak wiadomo, stanowi ulubione zajęcie niemłodych kobiet. Leonkę zaś uważała za istotę wybraną, która w kwestyi kobiecej powinna odkryć nowe horyzonty, powinna stanąć wysoko w nauce, zdobyć stanowisko niezależne. Pani Bielska, która własną pracą wychowała trzech synów, a prócz tego, odmawiając sobie wszystkiego, dopomagała czem mogła cicho i bez pozowania bardzo wielu uczącym się. Uważała jednak swoją działalność za żadną i z pewną macierzyńską dumą i niepokojem śledziła wszystkie młode panny, obie-

rające nowy kierunek, kształcące się na samodzielne pracownice. Wprost zazdrosna była o każdą z nich i truchlała, aby ci obrzydliwi mężczyzniska nie zwrócili tych pionierek z obranej drogi swoimi afektami.

Doświadczonem okiem spostrzegła czujna „ciocia", że Roman i Leonka chętnie ze sobą przestają i zaniepokoiła się — o swoją pupilkę. Wszystkie inne matki w takich warunkach, jeśliby były niezadowolone, to ze względu na los syna. Co za synowa emancypantka bez posagu! Pani Bielska przeciwnie, troszczyła się o Leonkę i zawyrokowała, że jej szkoda wogóle za mąż, a tembardziej za Romana. Jeśliby już Leonka miała popełnić ten błąd i wyjść za mąż, to w przckonaniu pani Bielskiej, dozwalało się jej to chyba za jakiegoś uczonego profesora, całe dnie spędzającego w laboratoryum, mogącego dziewczynie zaimponować ogromem swej wiedzy—ale Roman? Ona sama, matka, miała go za nic, choć miała dla niego jakąś, zapewne macierzyńską słabość, a cóż

taka Leonka? Stanowczo szkoda jej było dla Romana.

Tak sobie wyrozumiawszy stara opiekunka emancypacyi, umyśliła zażyć dyplomacyi i skierować uwagę Leonki na mało niebezpiecznego Zygmunta.

Nie na tem jednak skończyły się propagatorskie niepowodzenia pani Bielskiej. W kilka dni potem, Adam oznajmił krótko i węzłowato, że się żeni z Izą, zaraz po egzaminie swoim ostatecznym. Oto więc znów jedna pionierka ubywała z szeregu. A tym razem oprócz szkody dla *sprawy*, odcierpiała pani Bielska czysto macierzyńskie niezadowolenie. Nigdy nie miała sympatyi do Izy, ceniła ją mało, a widziała chętnie w szeregach emancypantek tylko ze względu na korzyść liczebną. Natomiast na synowę nie widziała w niej żadnych kwalifikacyi i zmartwiła się tą wiadomością. Próbowała nawet perswadować.

— Cóż to za pomysł, mój Adamie, ta żeniaczka? Miałeś jechać zagranicę do klinik, specyalizować się, pracować przy szpitalach, raptem chcesz się okuć nowe-

mi obowiązkami, a i jej zwichniesz przyszłość, przecież miała inne projekty. Czekajcie z tem małżeństwem, aż oboje pokończycie studya.

— Ba! I ja tak chciałem—ale te mamuty zwąchały pismo nosem, że za granicą niemogłyby, jak tu, nas szpiegować i nie zgadzają się.

— Pocóżeś się oświadczał?

— Ani myślałem.

— Więc Iza powiedziała, no i powinna była, co i prawda.

— Gdzietam! Na schodach nas podglądały i podsłuchiwały. Wezwały mnie i zapowiedziały, że albo mam się z Izą żenić natychmiast, albo one ją wywożą na wieś, na Żmudź, za granicę nie puszczą i ani grosza nie dadzą. Cóż miałem robić? Iza małoletnia, swego nic nie ma, zakopaliby ją na tej Żmudzi, albo i wydali przemocą za mąż. Tam, w tej dziczy wszystko możliwe. Ledwie wytargowałem, że ją nie zabiorą przed moimi egzaminami. Potem razem pojedziemy do Paryża.

— Nie wiem, czy ci starczy na Paryż

we dwoje. Ja mało mam, a z Żytynka niewiadomo, czy co się okroi.

— Iza ma posag — dadzą jej procent. A ja, zdaje się, dostanę stypendyum.

— Rób, jak chcesz. Jesteś pełnoletni. Nie zdaje mi się Iza być dla ciebie odpowiednia, ale ty, widać, innego jesteś zdania. Nie przekonam cię.

— Otóż to. I ja nie przekonam tych żmudzkich mamutów, choć też sądzę, że obszedłbym się bez zaopatrywania się w Izę „aż do śmierci." Każdy swoje zdanie ma, a do cudzego musi się stosować. Nie pozostaje więc mamie, jak wyprawić ukochanemu synowi: *wesele ze wszelkiemi szykanami* i cieszyć się nadzieją wnuków.

— Tego-by tylko brakło! — mruknęła pani Bielska, wzruszając ramionami.

— No dopóki nie zostanie wynaleziony udoskonalony sposób przyrostu ludności...

— Cicho bądź! Że też ty nigdy nie możesz się obejść bez błaznowania. A wiesz, że tego nie cierpię!

— Moja mamo! Pedagogowie twierdzą, że człowiek jest wypadkową wpływów

dziedziczności i wychowania—czyli jestem dziełem, nie, przepraszam, arcydziełem mamy.

Pani Bielska za całą odpowiedź ruszyła ramionami, a Adam ze śmiechem pocałował jej rękę, dogadując coś jeszcze o prawdziwie w nowoczesnym stylu odbytej scenie błogosławieństwa macierzyńskiego i wkrótce cały dom dowiedział się o projekcie małżeństwa Adama, jako o fakcie dokonanym.

Dnie upływały Leonce dosyć jednostajnie. Chodziła na lekcye zbiorowe u pani Szulc, w domu ślęczała nad kursem osteologii pożyczonym od któregoś pierwszorocznika medycyny a illustrowanym za pomocą kośćca, wyszperanego pod łóżkiem Adama, jako niepotrzebny grat z pierwszych lat uniwersyteckich. Wieczorami rozmawiała z Romanem śmielej, bo Adam najczęściej przebywał z narzeczoną, więc się nie bała jego ironicznych docinków.

Oczekiwała trochę na nadejście odpowiedzi z Bernu, ale bez niecierpliwości,

bo Adam wytłómaczył jej, że przed jesienią niema poco jechać, mogąc do tego czasu dużo więcej skorzystać teoretycznie. Zresztą im bardziej była pewną wyjazdu, tem mniej gorączkowo się doń rwała — a może żal jej się robiło tego kółka, do którego przywykła, może dysput wiecznie tych samych, a wiecznie gorących, a może tych rozmów z jasnowłosym artystą, z sympatyi do którego tłómaczyła się sama przed swem pozytywistycznem sumieniem, jak ze śmiertelnego grzechu. Czuła tylko, że tak jak jest, jest jej jakoś miło, dobrze na świecie i nie tęskniła do zmiany.

Ale też los gotował jej karę za to zobojętnienie dla pierwotnego celu.

Pewnego dnia przyniesiono pocztę i Leonka jak zwykle oczekiwała listonosza i wybiegała pierwsza, tak i teraz z rozradowaną miną przyniosła zdobycz.

Był list i dla niej z domu, pochwyciła go natychmiast, ciesząc się niezwykłą jego objętością.

— Ależ gruby! Chwała Bogu, będzie ze cztery ćwiartki! Mamy pismo na kopercie —oho, aż dwie marki — i pewnie

jedna nie udźwignęłaby takiego pakunku— robiła głośno swoje uwagi, rozrywając tymczasem kopertę.

Natychmiast zatopiła się w czytaniu, ale po chwili ręce z listem opadły jej na kolana, a łzy jak groch toczyły się po policzkach.

— Biedni rodzice! a ja im nic pomódz nie mogę! Ach, co też mateczka pisze, że najbardziej myśl o mnie ich trapi — że mnie nic dać nie mogą... Cóż to znaczy, w porównaniu z tem, że oni brak cierpią! Moi najdrożsi!—myślała Leonka.

I znów wróciła do czytania listu, o ile łzy pozwalały jej widzieć litery, zgarniała co chwila wiszące na rzęsach krople i jak przez mgłę odczytywała długie cztery ćwiartki smutnych nowin.

Matka donosiła z wielką oględnością, aby jej nie zmartwić — jaką to klęskę ponieśli niedawno.

W same święta Bożego Narodzenia spłonęły im wszystkie zabudowania gospodarskie, wraz ze zbożem, inwentarzem żywym i martwym — słowem cały majątek. — Ocalał tylko dom, a właściwie zrąb

jego, pisała matka, bo dach się spalił, ale dzięki staroświeckiej, bardzo grubej polepie, spadające wiązanie paliło się sobie, jak na ziemi, a ściany i pułap się nie zajęły. To też póki były mrozy, nawet mieszkać mogliśmy na miejscu — ale potem przyszedł deszcz kilkudniowy i polepa, tak wytrzymała na ogień, przepuściła wodę. Musieliśmy się wynieść do miasta, wynająć mieszkanie, skąd też już piszę.

Zresztą i tak musiałoby to nastąpić, bo, jak wiesz, wszystko cośmy posiadali, to właśnie owe inwentarze i zboże. Straciliśmy ten jedyny fundusz i będziemy radzili sobie inaczej. Ojciec wynalazł już sobie skromną posadę aplikanta u znajomego adwokata, ja mam parę lekcyi muzyki i przy bożej pomocy, na niczem nam zbywać nie będzie —ale boli nas to, że nie możemy łożyć na twoją naukę, moje dziecko. Wiem, że ogromnie to odczujesz i dlatego nie pisałam ci świeżo po wypadku, abyś zmartwiwszy się nie zniechęciła się i nie dała za wygraną egzaminom.

Teraz, kiedy od nas nie możesz, niestety mieć pomocy — będziesz musiała

pracować na siebie; otóż patent zdobyty możesz zużytkować choćby tu u nas, dając lekcye w mieście, a mając zarazem w domu naszą opiekę i utrzymanie.

Te projekty Leonka przebiegła oczami machinalnie, więcej ją zajmował sam opis pożaru, widziała prawie i odczuwała czytając, te okropne chwile, ten przestrach kiedy w nocy, zbudzeni ze snu, rodzice ujrzeli się otoczeni wokoło płomieniami, budynki były drewniane, większość kryta słomą, paliło się też to jak pudełko zapałek. Bydło, konie, owce — przerażone szumem ognia, trzaskiem walących się krokwi i jaskrawością płomieni, nie dały się żadną siłą wyprowadzić z budynków. Jak też ojciec musiał cierpieć, patrząc na mękę tych biednych stworzeń, słysząc ich ryk, a nie mogąc nic zaradzić — on co tak lubił, prawie kochał wszystkie te bydlątka. I jak oni teraz w mieście potrafią żyć, będąc tak przywiązani do wsi i wiejskiego życia? Mama pisze o tem pogodnie, jak o rzeczy zwykłej, ale jakże jej smutno być musi na bruku, pozbawionej wszystkiego co lubiła i do czego przywykła?

Muszę pojechać zaraz do nich, widzieć chociaż, że im to nic na zdrowie nie wpłynęło.

Ale w liście matki była i o tem mowa.

Pisała oto, że gdyby Leonka nie zdecydowała się na zamieszkanie z nimi na stałe w prowincyonalnem miasteczku, to lepiej, aby nie przyjeżdżała teraz.

— Wydasz kilkanaście rubli na drogę, a teraz o grosz każdy będzie ci trudno — albo więc przyjedź zupełnie, albo cierpliwie czekajmy wakacyi.

— Ach to prawda, jakże ja mogę jechać— kiedy to co mam, to nie moje pieniądze?

I znowu łzy były jedyną jej pociechą.

Kiedy wypłakawszy się do woli poszła podzielić się z panią Bielską swojem zmartwieniem, ciotka przedewszystkiem podniosła lament nad przyszłością samej Leonki.

— Cóż teraz robić? przepadł uniwersytet! W kraju niema ich, gdzie mogłabyś z biedą utrzymywać się z lekcyi, jak większość studentów — a za granicą nie może być mowy o zarobkowaniu takiem,

trzeba zasiłku z domu i to zasiłku znacznego. Cóż myślisz zrobić?

— Nie myślałam o tem.

— To czegóż beczałaś?

— Jakto? przecież dla rodziców prawdziwe nieszczęście przy ich wieku, przyzwyczajeniach. A cóż ja umiem, abym mogła tyle zarobić, by im zapewnić byt?

Pani Bielska spojrzała na Leonkę ze zdziwieniem. W twarzy jej malował się zawód. Jakże ona mało odczuła zgruchotania swoich planów przyszłości. Oto zamykają się przed nią wrota nauki—a ona, ta panienka, nawet nie myślała o tem! Więc i ta nie utrzyma sztandaru?

Wieczorem cała rodzina zgromadzona debatowała nad przyszłym losem Leonki.

Ona sama, odczytawszy kilkakrotnie swój list hiobowy i narozmyślawszy się nad nim, nareszcie dostrzegła projekt matki osiedlenia się jej razem dla dawania lekcyi i zamyślała zaraz wprowadzić w życie.

Powiedziała tę myśl głośno.

Ale zerwała się prawdziwa burza.

— To niema sensu zagrzebać się na

partykularzu, gdzie się już myśleć nawet musi zapomnieć i zostać wołem roboczym dla fikcyi jakiejś—wołała pani Bielska.

— Nie dla fikcyi, ale żeby pomódz materyalnie rodzicom.

— Pleciesz! Cóż ty tam zarobisz? po złotówce godzinę ci zapłacą — a twoje utrzymanie to darmo przyjdzie?

— Panna Leonia chce pracować dla idei, — ironicznie mówił Adam, wprowadzać oświatę za pomocą udzielania aptekarzównom, poczmistrzównom i t. p. *ówwnom* francuszczyzny i muzyki.

— Albo pokazać głuchej prowincyi jak wygląda emancypacya *en retraite* — zdobył się na drwiny nawet Stefan.

Wszyscy oni byli jakby obrażeni, zażaleni na Leonkę, że tak łatwo godziła się z losem.

— Żarty nie w porę, moi kochani, lepiej myśleć i radzić, co ona ma lepszego do zrobienia—odezwała się p. Bielska.

Roman ostro napadł na braci.

— Co wy za dziwolągi wyrabiacie z tej emancypacyi! Dlaczegoż to tylko w auli uniwersyteckiej mają być prawdziwe eman-

cypantki, a te które pracują ciężko na siebie i drugich i są niezależne, to podług was co?

— No, taką rzeczą, Marcesia emancypantka czystej wody, koleżanka na niwie postępu... panny Leonii...

— A pewnie, że emancypantka najprawdziwsza— a użyteczniejsza od ciebie, jak dotąd mój bracie!

— At, bredzisz! jak to znać, że ślepy sądzi o kolorach. My się tobie do sądów o sztuce nie mieszamy — ale też i tobie o postępie mówić, to jak kurze o pieprzu.

— O medycynie nie decyduję, bo jej nie studyowałem, ale postęp nie jest monopolem studentów medycyny i każdy o nim ma swoje pojęcie i dla niego żyje. Moi kochani czy nie największa ze wszystkich kobiet, jakie znacie, emancypantka nasza mama (tu pocałował p. Bielską w rękę) choć na kursa nie chodziła a o pozytywnej nauce tyle wie, co się od was nasłucha.

Praca użyteczna na jakiemkolwiek polu, to i emancypacya. Niema co wyśmiewać uczenia aptekarzówien, bo i to ktoś robić

musi— im lepszy będzie ten ktoś, tem lepiej i dla aptekarzówien i dla społeczeństwa.

— Przesadzasz mój Romanie, zrobiłeś ze mnie bohaterkę, kiedy takie jak ja, są wszystkie kobiety od wieków, a przecież od wieków o emancypacyi nie mówiono. Taka praca, jak moja była, to prosty obowiązek.

— Tylko, że nie wszyscy i nie wszystkie spełniają obowiązki tak jak mama, choć mają się za postępowych.

— At, co tam ja! Takich jest legion, a jednak nie posunęłyśmy kwestyi kobiecej ani kroku naprzód, co to gadać. O! żebym ja była miała córki, nie waa, to co innego! Ale co to gadać. Tem Leonki nie poratujemy. A przecież jej szkoda dać się zmarnować na tej belferce, kiedy przy jej zdolnościach mogłaby zajść daleko.

— Niech ciocia tego nie mówi. Ja myślę, że doprawdy niemam takich zdolności, a także myślę, że p. Roman ma słuszność.

— Jakto! Ty możesz to powiedzieć, ty

co marzyłaś o wyższych studyach, aby kobietom utorować drogę...

— Marzyłam, ale nie dlatego, tylko, aby służyć społeczeństwu...

— Tere fere, panno Leonio—to po cóż koniecznie potrzebna była do tego medycyna, Bern czy Zurych — można było nauczyć się robienia krawatów, albo klejenia pudełek, co tyle panien ładnych i brzydkich w Warszawie robi i miałaby pani pracę niezależną w społeczeństwie, złośliwie drwił Adam.

— Toż bo prawda, że przesadzasz w skromności—wszyscy o tyle, o ile służą społeczeństwu, ale kto może zostać ministrem, trudno, żeby samochcąc zostawał kominiarzem — a ty możesz intelligencyą stanąć wysoko i zdobywać nowe drogi, a nie deptać po utartem nauczycielstwie.

— Cóż to napróżno mówić — stypendyów dla kobiet niema, łaski nikt mi nie zrobi i ja jej od nikogobym nie przyjęła, nawet w takim wzniosłym celu. Pozostaje mi nauczycielstwo jedynie— a wolę być razem z rodzicami i uczyć, jak p. Adam mówi, aptekarzówny, niż przyjąć miejsce

stałe w prywatnym domu i znosić fumy jakich hrabianek albo bankierówien.

— Otóż ja cię nie puszczę na tę prowincyę głuchą — jak sobie chcesz. Jeśli już masz utrzymywać się z lekcyi, to i tu potrafimy je znaleźć, a przynajmniej jesteś w centrum umysłowego życia—możesz się kształcić sama w godzinach wolnych. A z czasem może się interesa rodziców zmienią, albo u nas otworzy się uniwersytet...

Leonce oczy się zaśmiały, a Roman wycałowywał matkę po rękach.

— A co? czy nie najrozumniejsza z nas mama? Doskonały projekt. Znajdziemy pani lekcye, a swoją drogą może się pani uczyć — a co najważniejsze, że zostanie z nami, to grunt.

Pani Bielska sama rada była ze swego pomysłu, ale widząc rozjaśnione oblicza Romana i Leonki, trochę się zachmurzyła.

— Z nami! Jużci nie z tobą! Cóż ty wiecznie tu będziesz w Warszawie?—burknęła do Romana.

— Tymczasem jestem — a potem czy ja wiem? Nająłem do współki z kolegą

pracownię — glina jest wszędzie, pomysły zapewne przyjechały ze mną, nie zostały w Rzymie — cóż mi więcej potrzeba? Kocham się w typach swojskich i nie chcę rzeźbić innych, a mama powinna chcieć mieć mię jak najbliżej — dodał porywając matkę w objęcia.

— Tylko bez tych czułości, dajże mi pokój...

— Nie pod tym adresem... prawda? — szeptał tymczasem Adam do Stefana mrugając znacząco i wskazując Romana i Leonkę.

Ale owa adresatka wcale nie rozumiała tych spojrzeń. Pomimo zmartwienia rodziców, jednak wcale jej się nie chciało opuszczać Warszawy i bardzo była wdzięczna ciotce za radę.

Ucałowała też dziękując jej ręce i zgodziła się spróbować do wakacyi dawać lekcye w Warszawie.

Lekcye przez różnych znajomych znalazły się dość prędko i Leonka kilka godzin dziennie uczyła drugich, przez resztę dnia, ucząc się sama.

Myśl, że nietylko od rodziców nic nie

weźmie, ale jeszcze z własnych oszczędności pośle im trochę grosza, dodawała jej energii i robiła przyjemnem zajęcie samo w sobie niezbyt miłe. Łatwo zresztą przyzwyczaiła się do swoich uczenic, przejmowała się rozwijaniem ich intelligencyi i nad własne spodziewanie podobała sobie w swoim nowym zawodzie.

A kiedy jeszcze przyszedłszy zmęczona znajdowała prawie zawsze Romana i doznawała jego przyjaznej opieki, czuła się tak szczęśliwą, że aż wyrzucała sobie chwilami, jak marną jest istotą, kiedy zrezygnowanie z wyższych aspiracyi tak ją mało kosztowało.

Ale na domiar własnych wyrzutów—codziennie ostry język Adama bawił się jej kosztem.

— Jakże tam, panno Leonio? Do ilu tam głów włożyła pani tę ważną wiadomość, że świat stworzony został w dniach sześciu z niczego — a przepraszam, może już pani przechodzi wyższy kurs: o upadku pierwszych rodziców?

Albo:

— Panno Leonio! czy uczenice pani

studyują już tę ważną prawdę, że sześć razy osiem jest czterdzieści osiem?

Albo:

— Jakże ważna społeczna działalność zabijania dzieciom głów podoba się pani?

Leonka odcinała się jak mogła, o ile jej humor dopisywał, ale w gruncie i sama często mówiła sobie, że właściwie taka praca nie wyrównywa jej dawnym marzeniom. To wegetowanie, zdobywanie sobie chleba, może niezależność nawet, a stąd pewna satysfakcya — ale nie owo wymarzone: poświęcenie się dla cierpiącej ludzkości.

Ani Zosia, ani Józia i Felcia, ani Halinka, ani żadna z jej uczenic nie jest nieszczęśliwą, pozbawioną opieki istotą, którąby zginęła bez pomocy Leonki— bynajmniej: wszystko to dzieci zamożnych rodziców, którym, gdyby Leonki zabrakło udzielałaby równie dobrze, jakaś inna płatna nauczycielka tych *ważnych niezmiernie* szkolnych tajników.

Póki była na lekcyi, rutyniczne zajęcie opanowywało ją i dawało zadowolenie — ale gdy zasiadała do swoich książek, kie-

dy widziała kuzynów wracających z uniwersytatu, albo dawne koleżanki—wspomnienie przeszłych aspiracyi wracało, żal się robiło Leonce siebie i smutek opanowywał ją znowu.

Ona chciała nie tylko pracować, ale ukochać swoją pracę, ze względu na jej cel. Potrzebowała zaczepić swoje gorące serce o jakiś ideał, którýby jej wyobraźnia mogła dość na to podniośle przedstawić—a jakże znaleźć podniosłość w godzinowych lekcyach, rutynicznych szkolnych wiadomości.

Najmilsze dla niej były tylko chwile rozmowy z Romanem. On ją nigdy nie drażnił z powodu pospolitości jej zajęcia—a choć o tem nie mówiła, zrozumiał, co ją w tych lekcyach boli—i starał się uspokajać ją, mówiąc o wpływie moralnym nauczycieli, a nawet korepetytorów na niego kiedyś, gdy był w szkołach.

Ale i ten pocieszyciel miał być Leonce odjęty.

Pani Bielska nagle przypomniała sobie, że Stefan od kilku miesięcy doszedł do pełnołetności, a nikt nie robi nic, aby za-

żądać rachunków od opieki i przekonać się, co się dzieje z majątkiem.

Roman, jako najstarszy, a nie mający stałych obowiązków, podjął się tej misyi i opatrzony w odpowiednie plenipotencye od braci, wyjeżdżał na Podole.

Projekt ten układał się, jak Leonka była na lekcyach, potem nie mówiono o tak małoważnej rzeczy.

Dowiedziała się, kiedy Roman przyszedł się pożegnać. Rodzinne pożegnania nie były ani długie ani czułe, uściskawszy matkę i braci Roman podszedł do Leonki.

— Proszę mię wspominać,—mówił wesoło, źle będzie beze mnie? Kto będzie zawsze drzwi otwierał, jak z lekcyi wracamy, co? Kto będzie gderał za przeziębianie się?

Trzymał jej rękę i patrzył w oczy, a w miarę jak mówił opanowywało go rozrzewnienie i mówił jak do dziecka, który to ton przybierał do Leonki czasem wpółżartem, kiedy ją widział smutną.

Leonka była jakby ogłuszona tą nagłą wiadomością wyjazdu.

— Pan jedzie, pan jedzie?... — mogła

zaledwie wyjąkać. Ciotka i kuzyni patrzyli na nich — nie chciała okazać wzruszenia, ale jakże ją łzy zdławiły w gardle. Zarazem zła była na siebie i za wzruszenie i za nieumiejętność opanowania się.

Roman pocałował jej rękę, czego nigdy dotąd nie robił, to ją do reszty zmieszało i wzburzona, ze łzami w gardle, czerwona po uszy, wyrwała rękę i uciekła.

Ochłonąwszy w ciemnej alkowie z pierwszego wrażenia, zaczęła sobie wymyślać.

— Co ja wyrabiam? co oni sobie pomyślą? Znalazłam się jak gąska. Żegnałam się tragicznie, jakby on był moim bratem, albo narzeczonym. Czulej go żegnałam niż ciocia. Oni gotowi pomyśleć, że ja się zakochałam! Jeszcze czego! A ja go nawet nie lubię... To jest, nieprawda, lubię, nawet bardzo, tylko nie *uznaję*. Chciałabym, żeby był inny... To jest nie inny, ale żeby był znakomitym uczonym, żeby wszyscy go podziwiali, uważali za wyrocznię — a jednak żeby *na codzień* był tak dobry jak teraz...

Czy też na długo on pojechał! nie spy-

tam za nic cioci, bo myśleliby, że ja za nim tęsknię.

Jak to dobrze, że mię głowa boli — powiem, że mię bolała od rana, to wytłómaczy moje głupie znalezienie się.

Nie usłużył jednak ból głowy Leonce tak jak chciała — tembardziej, że skończył się zwykłą u niej nerwową gorączką, która tym razem wprawdzie już nie przeraziła pani Bielskiej, ale zdradziła do reszty domyślnej cioci tajemnicę, która i dla samej Leonki była tajemnicą.

Zanim Leonka odzyskała siły o tyle, aby módz znów chodzić na lekcye, koleżanki odwiedzały chorą i rozrywały rozmową.

Że zaś jeszcze nie oswojono się z jej nowem położeniem, więc od czasu do czasu rozmowa zaczepiała drażliwy przedmiot *marnowania* się Leonki.

Marynia przejęta zawsze kwestyami socyalnemi a w szczególności ideą pracy dla ludu, pierwsza podała myśl, że jeśli już Leonka rezygnuje z medycyny, a umie nauczać, powinnaby użyć tej umiejętności

dla oświaty ludowej i zostać ludową nauczycielką.

Leonka ozdrowiała od razu.

Rzuciła się Maryni na szyję za tak cudowny projekt. Była oczarowana.

To była praca, którą można ukochać, pomimo jej skromnego zakresu, praca dla idei, stanowisko niezależne, a takie skromne, kapłańskie.

Słowem cudowny wynalazek.

I że też jej samej na myśl to nie przyszło? Teraz oto ma cel życia wytknięty i doprawdy prawie tak wysoki cel, jak owa marzona medycyna.

— Ciociu, ciociu! — wołała czemprędzej — proszę słuchać, co za wspaniałą myśl podała mi ta nieoceniona Marynia!

I pilno jej było pochwalić się przed ciotką, że oto będzie *czemś* w społeczeństwie, wraca pod sztandar, choć w innym oddziale bojowniczek postępu— czuła Leonka, że ciotka straciła do niej serce za to obniżenie aspiracyi.

Ale pani Bielska okazała mniejszą radość, niż się Leonka spodziewała.

— Ciocia już zrażona do mnie, nie

wierzy w moją wytrwałość. Cóżem winna, że bez pieniędzy nie można zdobywać wyższej wiedzy.

I teraz ona znów zażalona była na ciotkę, że zamało cieszy się jej radością. Przypomniała sobie, kto to zawsze podzielał jej radości i smutki i rumieniec oblał jej twarz.

— O, pan Roman ucieszyłby się za mnie,—myślała—on jeden. Rodzice kochają mnie najwięcej, ale mię nie rozumieją, nie ucieszyliby się—powiedzą znów, że to szalony projekt, godny mojej przewróconej głowy. On jeden, choć niema obowiązku mię kochać, ale mię rozumie. Dowie się tylko o mnie, bo jak przyjedzie, ja już może będę gdzieś w deskami zabitym kącie uczyła całe setki białowłosych chłopiątek. Jak nauczę całe pokolenie czytania, pisania i różnych ciekawych rzeczy, zrobię z tych dzikusów ludzi oświeconych — to zaproszę ich wszystkich na egzamin—ciocię i pana Romana i Adama i panny — niech patrzą, że i ja coś robię dla społeczeństwa, dopiero ciocia odzyska wiarę we mnie.

Tak marzyła Leonka!

Ale pani Bielska, tym razem nie przez brak wiary w nią, za mało się przejęła jej radością. Po prostu była w kłopocie, zobaczywszy zapał Leonki.

Odkrywszy podczas gorączki tajemnicę jej serca, a szczerze tem odkryciem zmartwiona, bo uważała, że Leonki dla jej syna szkoda — napisała do Romana, prosząc, aby jak najdłużej nie wracał, bo miłość Leonki dla niego *zmarnowałaby* do reszty jej przyszłość; że nie są dla siebie odpowiedni, że nie powinien, jako człowiek honoru, podsycać uczucia, które niema sensu i t. d.

Teraz, kiedy Leonka skakała z radości na myśl o zakopaniu się gdzieś w głuszy w charakterze ludowej nauczycielki i rwała się do jaknajprędszego opuszczenia Warszawy—pani Bielska mówiła w duszy:

— No, zgłupiałam zupełnie! Gdzież jej w głowie amory?

Po prostu nerwowa jest —przejęła się jego wyjazdem i plotła z gorączki — ale przecież wtedy po wakacyach tak samo wołała ze snu Falcmana, gdy miała nim gło-

wę nabitą, ze złości. — Co mnie się wyobraziło? I po co ja to pisałam? A ten romantyk gotów właśnie rozczulić się jej mniemanym afektem i sam się zapalić. A niedaleki był od tego przed wyjazdem. Ale Bóg z nim — jemu się nic nie stanie, a jej byłoby mi szkoda.

Czyż nie szkoda takiej dziewczyny dla Romana, a i dla każdego. Wychodzić za mąż to dobrze dla potulnych gąsek, albo kokietek, jak Iza. Gąska poza dziecinnym pokojem i kuchnią świata nie zobaczy, a taka Iza zrobi z męża swego niewolnika za pomocą min, pochlebstw i fioków i będzie zadowolona. Ona językiem świat-by zbawiała, zwłaszcza jak widzi, że się te gawrony męskie wpatrują w jej oczy — ale naprawdę jej te hasła na to tylko potrzebne, aby się w nie stroiła jak w inne kolorowe gałganki. Ot, zmiarkowała, że jej w czerwonem do twarzy, to i bawi się w radykałkę.

Ale Leonka to co innego. Trochę tylko za ślamazarna, bo młoda, ale, żeby nie miała wpływu Romana nad sobą, wyrobiłaby się na dzielną kobietę.

To też pani Bielska gorliwie pomagała Leonce do poczynienia kroków potrzebnych w otrzymaniu posady ludowej nauczycielki. Chodziła z nią podawać prośbę, starała się o protekcyę, wbrew zasadom—byle przyśpieszyć tak pożądaną rezolucyę. Ale urzędowe formalności zwykle zabierają dużo czasu i nie obiecywano tym paniom prędkiej decyzyi. Czasem odpowiadano, że niema wakansów, kiedy indziej, że trzeba zasiągnąć u policyi wiadomości o sprawowaniu się kandydatki, a że te wszystkie informacye muszą przejść, przez wiele biur i biurek, więc należy się uzbroić w cierpliwość. Rzeczywiście tygodnie przechodziły, a rezolucyi nie było.

Leonka po dawnemu dawała lekcye w oczekiwaniu na nominacyę — ale nie wątpiła o niej, ani na chwilę. Czyżby posada tak mało płatna, a tak ciężka, mogła mieć wiele ubiegających się... aby aż trudno ją było uzyskać. Na misyonarzy niewiele zwykle bywa kandydatów, a to przecież prawdziwa misya.

Ale co prawda Leonce ziemia paliła się pod stopami—póki nie miała w perspekty-

wie ludowego znaczenia, daleko spokojniej znosiła swoje godzinowe lekcye—teraz zapatrzona w ideał, buntowała się przeciw gamom, francuskim i niemieckim rozmówkom i radaby w jednej chwili uwolnić się od tej chlebodajnej pańszczyzny.

Umyśliła pójść jeszcze sama prosić wyższego urzędnika o przyśpieszenie nominacyi.

Przyjął ją bardzo grzecznie siwy pan obwieszony orderami, wypytywał o pobudki tego pośpiechu i wpatrywał się w nieumiejący ukrywać nic *sarmacki* typ.

Leonka z całym naiwnym zapałem spowiadała się siwemu staruszkowi z projektów i marzeń o przyszłej działalności.

— Więc pani dla *idei* chce się oddać nauczycielstwu, nie dla chleba, — dopytywał urzędnik.

— Chleb mam i tu, dając lekcye — ale pragnę pracować dla społeczeństwa. Poprzestałabym nawet na mniejszej pensyi, gdyby to mogło wpłynąć na decyzyę...

— Nie, to niema wpływu. Etaty są stałe. Rząd nie potrzebuje takich poświęceń. Więc pani dla idei... tak... tak... —

uśmiechał się do niej. — To zresztą pani z oczu patrzy. No, no zobaczymy, zobaczymy, za parę dni pani się dowie do kancelaryi.

Pożegnał ją bardzo uprzejmie, uśmiechając się ciągle dobrotliwie.

Leonka była uradowana.

— Jakiś bardzo sympatyczny staruszek choć tak go nie chwalą. Za parę dni będę miała nominacyę.

Ale w parę dni już Leonka zalewała się gorzkiemi łzami. W kancelaryi oddano jej papiery i stanowczą odpowiedź, że wakansu niema i nie będzie prędko.

— To zaczekam, niech papiery leżą — może się wakans otworzy...

— Naczelnik polecił pani zwrócić—papiery już wypisane z ksiąg, nie można zostawiać, chyba przy ponownej prośbie—ale teraz to niema co podawać.

I zwrócił się do nowych interesantów.

Leonka dopiero opłakawszy hojnie swój zawód i przedebatowawszy o całej sprawie ze wszystkimi znajomymi i domownikami dowiedziała się, że do dyplomacyi niema

zdolności i że nie przed każdym dobrotliwym staruszkiem należy się wywnętrzać. Projekt pracy nad ludem na długo musiał zostać pogrzebany.

Trzeba było wlec szare życie pracy na chleb i wyrzec się marzeń.

Nie obeszło się bez łez, gorączki, drwin Adama z politycznego zmysłu panny Leonii i cichego niezadowolenia pani Bielskiej. Wreszcie wszyscy dali jej pokój, ale każdy był zajęty swoimi planami i obowiązkami, a Leonka wyglądała rzeczywiście przy tem postępowem kółku, jak *emancypantka en retraite*, podług określenia Stefana.

Nie zdawała sobie z tego wyraźnie sprawy, ale odczuwała, że jej osoba, jako taka, nikogo z nich nie obchodzi, uważali ją jako jedną z bojowniczek w szeregu — w boju osobistości nic nie znaczą, żołnierz pada, lub zostaje z tyłu — szeregi się zamykają nad nim i idą dalej do ataku — a ty żołnierzu konaj z bólu—jużeś nie bojownik, ale inwalid, albo maruder.

I Leonka została po za szeregiem, a nikt się po nią nie schylił. Bolało ją to, bo dusza jej rwała się do nich, a także po-

trzebowała współczucia już nie w idei ale wprost dla siebie, dla swego, jak mówiła mazgajstwa. Nie miała nawet do nich żalu, bo z ich strony nie był to wcale egoizm, a tylko takie zapatrzenie się fanatyczne w poważne cele życia, że jednostka nie była w stanie zaprzątać ich uwagi. Dla siebie każde z nich również niczego od drugich nie wymagało. Leonka jako bojowniczka w szeregu, mogła liczyć na całą ich sympatyę i solidarność — ale Leonka, jako smutna dziewczyna, stęskniona do serdeczności, pieszczoty, rodziny — nie liczyła się.

Fanatyzm wiedzy, jak każdy fanatyzm wyklucza tolerancyę, a Leonka choć nie w teoryi, ale w praktyce odstąpiła od sztandaru.

Od Romana częste przychodziły listy, gdyż zdawał sobie sprawę z interesów wspólnych braciom, a radził się co do nich matki. Porobił układy z wierzycielami, zaciągnął pożyczkę bankową i chwalił się matce, że ma nadzieję, iż można będzie ocalić ziemię od sprzedania, jeśli się

jeszcze przez lat kilka poświęci cały dochód na spłacenie ciężarów. Nikt tam przez czas opieki nie podniósł kultury, ale przynajmniej nikt nie zniszczył — a lata zrobiły swoje, bo las odrósł znacznie i będzie stanowił wielki resurs.

Jakkolwiek od tylu lat nie byli w dawnej swojej siedzibie, a mieszkając tam, niewiele zaznali dobrego, jednak jednogłośnie postanowili nie ruszać dochodów i wyratować ziemię.

Częścią z zasady nie kurczenia ojczyzny, a jeszcze bardziej przez wzgląd na matkę, aby miała spokojną starość, obaj studenci polecili Romanowi odpowiednie przedsięwziąć środki.

Co nic nie przeszkadzało, że troskliwość ową Adam ubrał w najbardziej szorstką formę, kiedy matce ten projekt oznajmiał, a Stefan także tłómaczył jej, że robią to przez egoizm, aby im wstydu nie robiła, chodząc na starość w podartych trzewikach.

O interesach tych rozmawiano zwykle i to były jedyne dla Leonki o Romanie wiadomości.

Że w listach były nieraz długie do niej apostrofy nie wiedziała, gdyz pani Bielska zachowywała tajemnicę tych dopisków dla siebie.

Póki była pewna posady nauczycielki ludowej, mniej zwracała uwagi na obojętność Romana — wspominała go sama często i liczyła jak to się będzie przed nim popisywać swoimi uczniami — ale po doznanym zawodzie, przy łzach i desperacyi brak jej było zwykłego pocieszyciela.

— Nawet *on* ani o mnie słówkiem nie wspomni, choć dawniej był dla mnie najlepszy. Ale bo też za co kto ma mieć dla mnie jaką sympatyę, czy współczucie; co ja jestem? Nic. Darmozjad społeczny, na nic nikomu niepotrzebny. Ma racyę, że o mnie nie myśli.

Wymyślała sobie gorliwie, uważała siebie za najmarniejsze stworzenie—a jednak wbrew tym wmawianiom tęskniła z każdym dniem bardziej i o zgrozo... tęskniła za Romanem.

Znudziły ją lekcye, znudziła Warszawa, drażniły rozmowy i plany młodzieży, a szczególniej Adama i Izy,. którzy teraz

często przesiadywali u pani Bielskiej. Widok tej pary narzeczonej tak po koleżeńsku ze sobą będącej, robiącej wspólne projekta; krytykującej, dysputującej, albo przebudowującej świat zawsze unisono — przejmował zazdrością serce Leonki.

Umyśliła choć na czas jakiś oderwać się od tego i pojechać na Wielkanoc do rodziców. Lekcye z uczenicami musiały być przerwane, byłaby więc skazana na całodzienne przebywanie w domowem kółku, które ją coraz bardziej męczyło.

Nadszedł Wielki tydzień, dzieciarnia się porozjeżdżała, Adam spędzał święta na wsi, u rodziców Izy. Pani Bielska też miała na parę dni ze Stefanem odwiedzić rodzinę przyszłej synowej — wszyscy robili przygotowania do drogi.

Leonka śpiesznie pakowała swój kuferek w pokoju chłopców i zawczasu porządkowała swoje graciki, kiedy niespodzianie stanął przed nią Roman. Wejście jego było tak nagłe, że Leonka nie miała czasu się opanować. Szczera jej twarz rozjaśniła się taką radością, a ręce wyciągnęły się ruchem takiego utęsknienia

ku niemu, że może i bez listów matki powiedziałyby mu wszystko.

Tak zaś potwierdziły tylko wiadomości, jeśliby o nich wątpił kiedykolwiek.

— Rade mi dziecko troszkę, co?— pytał porwawszy jej obie ręce i unosząc w swoich, jakby je miał złożyć na swych piersiach.

Ale ona nie opierała się bynajmniej. Patrzała w jego oczy z taką szczerością, jaką daje tylko, prawdziwa czystość uczuć.

— O, troszkę! — powiedziała tylko i, oparłszy głowę na uwięzionych rękach, rozpłakała się.

— Tęskniło dziecko! moje, moje jedyne! A ja jak tęskniłem. Byłbym chyba nigdy tu nie wrócił, gdyby mi mama niechcący nie zdradziła tajemnicy dzieciaka.

Spojrzała zdziwiona, ale przypomniała sobie, że była chora, musiała coś mówić z gorączki—i zawstydzona schowała twarz w dłonie.

Kiedy sobie później chciała wytłómaczyć, jakim sposobem zostali narzeczonymi, nie umiała.

Nie pytał ją, czy go kocha — nie mówił o swojej miłości, ale przytuliwszy do siebie oznajmił, że oto bierze sobie tego dzieciaka szczerego w opiekę na życie całe — a jej tak dobrze było, błogo, że radaby nigdy się z tych objęć nie wychylić do trzeźwej rzeczywistości.

Nie pytała siebie, czy go kocha — bo i on o to nie pytał. Zapytana, byłaby pewnie odpowiedziała przecząco. O miłości wyrobiła sobie zupełnie inne pojęcie i tego co czuła dla Romana nie nazwałaby miłością, ale była tak spragniona tkliwszych uczuć, że się poddawała urokowi chwili i nie analizowała siebie.

— Co to dzieciak tu robił, jak przyszedłem?

— Pakowałam się. Jadę dziś do rodziców — dodała ciszej, jakby z żalem, że to już dziś.

— To i ja pojadę. Musisz im zaprezentować narzeczonego.

Mówił o narzeczeństwie, jakby to była kwestya dawno między nimi ogadana — a ona też uważała to za naturalne. I jakże miała przeczyć — tulił ją do siebie, mówił

poufale, ty dzieciaku — uważał za swoją własność — a jej ta przynależność taką sprawiała cichą rozkosz, że za nic nie chciałaby się z nią rozstać.

Powiedział przecież, że byłby chyba nigdy nie wrócił, gdyby... Miałaby go nie zobaczyć więcej!

A na tę myśl mimowolnie tuliła się mocniej do narzeczonego, jakby bojąc się go utracić.

Ale nie pytała siebie, czy go kocha.

A on pocóż miał pytać, kiedy patrzył w te przezroczyste oczy, które jeszcze nie umiały ani kłamać uczuć nieistniejących, ani ukrywać tych, które przepełniały serce.

— Jakże będzie? pojedziemy razem?

— O, nie, nie! Cóżby ciocia powiedziała i bracia? Przeraziła się teraz jawności tego co nastąpiło... Co oni powiedzą? Wiedziała z góry, że prócz krytyki nic ją nie spotka i bała się tego. Żebyż uniknąć, choćby na razie.

— Czy pan się widział z ciocią? Tak jestem odurzona, nawet nie spytałam, jakże pan wszedł aż tu?

— Bardzo zwykłą drogą, drzwiami kuchennemi. Mamy niema, Stefan w swoim pokoju, gdzie też zaniosłem moje rzeczy, a Marcesia wie, żem nie złodziej i nie broniła mi wstępu. A dziecko co myślało?

— Nic; i teraz nic nie myślę, tylko mi dobrze, a taka byłam biedna! Nic mi się nie wiedzie. Pan nie wie? już miałam nadzieję być ludową nauczycielką i wszystko na nic. O, jaka ja byłam nieszczęśliwa po tej odmowie!

— Moje biedactwo! Ale nie będziesz nią więcej, prawda? Dzieciak nie będzie miał swoich smutków, trosk, przykrości, bo ja wezmę na siebie i nie dam niczemu złemu przystąpić do mego skarbu. Dobrze dziecino?

Otoczył ją ramionami, jakby rzeczywiście bronił przed czemś niewidzialnem, a groźnem—a oczy jej odpowiadały:

— O, i jak dobrze, najdroższy.

Leonka, jak zahypnotyzowana w milczeniu rozstała się z ciotką i domownikami,

sama pojechała na kolej, śpiesząc na bardzo długo przed godziną odejścia pociągu, jakby uciekała przed czemś lub śpieszyła do czegoś.

I śpieszyła rzeczywiście do samotności w ludnym wagonie trzeciej klasy, gdzie zaciśnięta w najciemniejszy kącik puściła wodze tłoczącym się myślom i zaczęła się zastanawiać nad tem, co zaszło.

Została narzeczoną. Tak się to stało nagle. Jakże to będzie, przecież miała nigdy nie wychodzić za mąż, aby mieć wolność w obraniu drogi, na której będzie służyła społeczeństwu?

Prawda, że chwilowo wszystkie jej plany rwały się i rozbijały o nieprzewidziane przeszkody, ale może nareszcie przyjdzie czas, że będzie mogła pokonać te trudności, jeśli zostanie wolną.

Ale znów Roman to nie zwyczajny filister, któryby się żenił, aby mieć niewolnicę do swoich drobnych, gospodarskich posług, doczekać dzieci i myśleć tylko o zaspokojeniu materyalnych potrzeb rodziny. Małżeństwo ich, to będzie związek dusz, do-

zgonna przyjaźń, gdzie jedno drugiemu nie powinno zawadzać na drodze do ideału.

I Leonka rozmarzona deklamuje w myśli zwrotki Konopnickiej, będące wtedy na wszystkich młodych ustach:

Kocham cię, znaczy: o wolny ty duchu,
Ja nie chcę skrzydeł twych krępować jasnych,
Przykuwać ciebie do trosk nędznych, ciasnych,
Ciebie, coś przywykł na myśli podmuchu
Bujać jak orzeł po niebieskich szczytach
I gniazdo zwijać w błękitach.

Wkoło Leonki śpiesząca rzesza uwija się walcząc o miejsce, popychając się, krzycząc w różnych językach, a w każdym hałaśliwie. Brudne żydówki z jeszcze brudniejszemi żydziętami, ocierają się ustawicznie o jej kolana, usiłując nie stawiającej oporu pasażerce zabrać każdą odrobinę miejsca na ławce, pod ławką i nad ławką. Leonka obojętnie znosi te wszystkie ataki, machinalnie osuwa się przed naporem—bo myślą jest... na owych szczytach!

Powraca myślą do niedawno ubiegłej sceny i zaczynają jej przychodzić do głowy szczegóły realne:

— Co to ciocia powie?

Tymczasem wywinęła się Leonka od wyjaśnień, bo nagły wyjazd, zmieszanie, zajęcie się matki Romanem, uwolniły ją od tego, a i tak nie miała odwagi spojrzeć ciotce w oczy—ale nakoniec trzeba będzie przejść przez to... A Adam i Stefan? Jeszcze ten ostatni pół biedy — ale Adam co powie. Odsądzi Leonkę od czci i wiary, że jak najpospolitsza panna na wydaniu, karyerę swoją zakończyła... małżeństwem.

Chociaż właściwie jakież Adam ma prawo drwić z niej—cóż lepszego robi Iza, jego narzeczona? Także popełnia ową pospolitość.

Tak, ale Iza zaraz po ślubie wstępuje na uniwersytet, czyli będzie żywym przykładem, że małżeństwo nie jest ostatnim aktem w życiu kobiety, ale kwestyą drugoplanową, tak jak i dla mężczyzny, który dla małżeństwa nie zrzeka się, ani pracy, ani stanowiska, ani zasad. Szczęśliwa Iza!

Ale dlaczego ona, Leonka, niema być tak samo szczęśliwą. Cała różnica, że

Iza ma posag i może użyć swoich pieniędzy, jak chce, Leonka niema pieniędzy, ale ma dobrą wolę i jak tylko okoliczności tak się złożą, że będzie mogła zostać np. ludową nauczycielką, to pewnie małżeństwo ją nie powstrzyma.

Trzeci dzwonek, a bardziej jeszcze deptanie po nogach, budzi Leonkę z zadumy.

Pociąg zaczyna drgać, przygotowując się do odejścia, a fala brudnych i krzykliwych towarzyszy i towarzyszek podróży, przypływa do okna przy którem siedzi Leonka, aby po raz ostatni spojrzeć na pozostałych na peronie krewnych lub przyjaciół.

Wszyscy depcą niemiłosiernie po nogach Leonce, aby jeszcze raz kiwnąć głową przez szybę, przesłać od ust pocałunek, lub jakieś zapomniane polecenie; ale Leonka nie protestuje, bo widok ten ją rozrzewnia, przywodzi na myśl, że oto każdy z tych biedaków nawet, ma kogoś kto go odprowadził, kogo żegna z żalem... i ona zostawiła blizkie sobie serce i ją byłby Roman tak żegnał.

Tak krótko go widziała, tak mało ze

sobą mówili, jaka szkoda, że jej nie odprowadził — tak długo ten pociąg stoi, tyleby było czasu!

Tymczasem pociąg zakołysał się, zagwizdał, zastękał i sapiąc coraz szybciej, jak zmęczona bestya, ruszył przez mazowieckie piaski.

Wtem drzwi się otwierają, konduktor wchodzi dla obejrzenia biletów, Leonka zwraca wzrok ku drzwiom i cóż to? twarz jej kraśnieje jak zorza, oczy się uśmiechają, a cała postać wychyla się z ławki, jakby jej skrzydła urosły. To Roman wesoło daje jej znaki, a nie mogąc się prędko docisnąć, woła z po za pleców konduktora.

— Ależ *wybraliśmy* sobie najciaśniejszy kąt!

— Wszystkie wagony obleciałem w poszukiwaniu, straciłem pół stacyi na tem. O! wygodne miejsce niema co mówić. Oj, to, to.

I kręci głową jak do dziecka, które coś zbroiło, a tymczasem przeciska się przez tłum i staje przy promieniejącej Leonce.

Ona nie pyta go, jak się stało, że jadą razem—jest jej tak dobrze, tak jest szczęś-

liwa, a przed chwilą tak się czuła opuszczoną, samą.

Brudny wagon wydaje jej się zaczarowanym pałacem; różnobarwny, dokuczliwy tłum hałasujący, robi wrażenie niebiańskiej harmonii—dobrze jej, miło, słodko, bo główkę opiera na ramieniu Romana i słyszy pieszczotliwy głos:

— Jesteśmy razem, razem, dziecinko. Czy ci dobrze?

Stopniowo podróżnych na każdej stacyi ubywa, w wagonie robi się przestronno, a więc dość wygodnie, kącika Leonki nikt nie napastuje — siedzą w nim we dwoje i mogą zapomnieć o świecie całym.

Roman zdaje sprawę ze swego nagłego zjawienia się.

— Nie mogłem cię puścić samej — zresztą chcę, aby twoi rodzice nas pobłogosławili. Mamie powiedziałem od razu wszystko. Nie bardzo się ździwiła — ale krótko i węzłowato zapowiedziała mi:

— Z tego nic być nie może, boś ty jej nie wart. No, i mówią, że wszystkie matki zaślepione. Ale nie uraziło mię to, bo

niemożna mi więcej dogodzić, jak wynosząc wysoko moją dziecinę.

Stefan ramionami ruszał i puszczał się na jakieś niemądre dowcipy, których nie słuchałem. Wręczyłem papiery majątkowe, opowiedziałem z *grubszego* o interesach i poleciałem na kolej, gdziem złapał pociąg już ruszający w drogę.

Ale co miałem strachu, jakem przeszedłszy tyle wagonów nie znajdował ciebie — myślałem już, żeś nie wsiadła, ale została na stacyi, czego mogłem nie widzieć, wprost z dorożki wpadłszy na peron za uciekającym pociągiem.

Podróż trwa długich kilkanaście godzin, ale Leonce czas przelatuje, jak błyskawica.

Roman snuje przed nią plany wspólnej przyszłości, a ona słucha, ale nie słyszy. Chwila obecna ją hypnotyzuje: oto czuje, że ją ktoś kocha, pieści, tuli, kiedy od tylu miesięcy nikt jej nie przygarnął serdecznie, jej, tak spragnionej serca, kochania.

To też teraz poddaje się urokowi chwili, nie myśli o przyszłości, nie słyszy słów Romana, ale jego głos pieszczony i opie-

kuńczo opasujące ją ramię, wystarczają jej do zupełnego szczęścia.

Wagon turkocze miarowo, podróżni, coraz mniej liczni drzemią przeważnie albo chrapią na dobre, świece migają tajemniczo w latarniach i Leonka, ukołysana ruchem pociągu, usypia jak szczęśliwe dziecko na ramieniu Romana.

Dopiero zaglądające w okno promienie wschodzącego słońca budzą ją i dają widzieć gwałtowny rumieniec.

— O mój Boże—a ja tak spałam długo, całą noc! i tak nagniotłam panu ramię! O, co za śpioch ze mnie. I kiedyż ja zasnęłam, nic nie pamiętam — trzeba było zepchnąć mnie z ramienia.

— Cóż robić! to początek moich poświęceń, a tyranii mojej przyszłej *magnifiki* z komiczną rezygnacyą odpowiada Roman—ale całuje na dzień dobry wszystkie paluszki *magnifiki*, która dąsa się sama na siebie za ów kompromitujący sen.

Ale słońce tak cudowne blaski rzuca na ziemię, oblewa lasy swem roztopionem złotem, odbija się milionami brylantów w kroplach rosy, stojących na trawach

i ziołach, brzydkie kałuże, stojące gdzieniegdzie na drogach i mokrych łąkach, zamienia na czarodziejskie tafle mozajki z drogich kamieni, że cuda te pociągają nawet oczy zakochanych i oboje, wpatrzeni w przesuwające się jak w kalejdoskopie obrazy, przebywają resztę drogi.

— Stacya Garbów, 8 minut,—wykrzykuje konduktor.

A z okien wagonu widać skromny, drewniany na olejno malowany, budynek stacyjny, z stereotypowym ogródkiem i altanką, obsadzoną dzikiem winem, które w tej porze przedstawia się jak sieć nieregularna brunatnych sznurków z węzłami, splątanych na powierzchni altanki.

Poza stacyą brukowany dziedzińczyk zalega kłlkanaście żydowskich dorożek, odrapanych i brudnych, których woźnice z biczami w ręku czatują u wejścia bocznego na peron, aby wydzierać sobie wzajemnie nielicznych podróżnych. Dwóch jednocześnie atakuje Leonkę. Śmieje się do swoich prześladowców i żartuje z miny Romana, który nie umie się od nich opędzić.

— Chodźmy na dziedziniec, — ja wybiorę najmniej połamany wehikuł, znam tutejsze środki lokomocyi, a także ceny, więc biorę pana w moją opiekę.

I jak zwykle gdzie dwóch walczy, trzeci korzysta, tak i tu Leonka nie godzi żadnego z napastujących dorożkarzy — i po chwili jadą z Romanem dość oberwaną bryczką po pełnej wybojów szosie.

— Czem-że to lepszy ten ekwipaż od tamtych odrzuconych, chciałbym wiedzieć?—śmieje się Roman.

— Bo widzi pan, — tłómaczy Leonka do ucha towarzyszowi, dorożkarz ma tak sympatyczną twarz i wydawał mi się jeszcze biedniejszy od tamtych.

— Wątpię, czy na nas od razu zrobi majątek.

— Ale mało jest podróżnych i mógłby wcale nic nie zarobić, bo tamci go uprzedzili.

— To dzieciak i wtem filantropią się rządzi?

— W czem innem nie mogę. Ba! Żebym mogła!

I mina Leonki przy tem ba! jest taka,

że Roman nie wątpi, iż będąc arcy-milionerką rozdałaby swoje miliony owym najbiedniejszym.

Jakby na wyrażenie współczucia w tej kwestyi ściska rączkę Leonki.

Ona czasem rozgląda się wkoło na znajome obrazy i oto już miasteczko, najpierw zrzadka ukazują się otoczone ogródkami domy, prawie wiejskich dworków mające pozór, parterowe, drewniane, z dachami gdzieniegdzie zieleniejącemi od mchu; dalej ogrodów coraz mniej, domów coraz więcej. Nad ulicą szeregi sklepów o przerażająco brudnym wyglądzie, a we drzwiach każdego z nich, oczekująca na klientów właścicielka żydówka. Wszystkie sklepy znane mniej więcej Leonce, bo tu nieraz przyjeżdżały z matką po sprawunki. Wie także, że trzeba przejechać całe miasteczko, aby się dostać do domku, który najmują rodzice.

Dorożkarz również wie, gdzie mieszkają państwo Jasińscy. — Oj, oj czemu nie wiedzieć niedawno *najechali*, oni podobno popalili się, zbiednieli i tu przyjechali. Tu bogaty nie przyjedzie, coby *un* tu ro-

bił. Bogatemu trzeba *tyjatru*, różnych *kumedyów*, co chyba aż w Warszawie pokazują— a biednym trzeba tanio przeżyć, *albo* zarobić. A państwo do nich w goście?

— Tak. tąk, a daleko jeszcze?

— Niedaleko, ale ot przeszkoda, niemożna prędko jechać, bo *kogoś prowadzą*.

Rzeczywiście słychać było śpiewy żałobne, a wkrótce ukazały się chorągwie i kondukt pogrzebowy. Żyd, rad nie rad, przystanął i smutny orszak przesunął się tuż obok dorożki. Kondukt był skromny i nieliczny, za trumną postępowało kilka osób, ale nikt nie płakał, a owszem ciekawe spojrzenia rzucali wszyscy na młodą parę.

Smutne myśli na ten temat przerwał Leonce żyd, kiedy ruszyli znowu.

— Czy państwo wielmożne już po weselu,—zapytał, odwracając się z kozła.

Leonka sponsowiała, bo wzięła to pytanie za uwagę zrobioną sobie z powodu splecionych ich rąk i pochylających się ku sobie twarzy.

Roman przytomniejszy pośpieszył odpowiedzieć·

— A jakże! to moja żona.

— Nu, to chwalić Bogu! Bo to bardzo paskudnie, jak spotkać taki interes, jak my teraz spotkali.

— Co wy mówicie, co paskudnie?— dopytywał Roman, nierozumiejąc.

— U nas to ten zabobon niema, bo u nas do wesela młodzi z sobą razem nie chodzą, to i nic paskudnego spotkać nie mogą, ale prosty naród to gada, co jak młode jadą i spotkają, (nie przy nas mówiący) pogrzeb—to jest *ferfał* z weselem. To ja mówię, chwalić Boga, co wielmożne państwo już po weselu.

Leonka śmiała się z gawędy żyda, a Roman patrzył na nią badawczo i posmutniał.

Ale tymczasem wyjechali znów między mniej zamieszkałe ulice i wkrótce stanęli przed małym domkiem.

Powitanie było mieszaniną radości, ździwienia na widok Romana, zdumienia na wiadomość w jakiej roli się zjawił i zakłopotania, jak tę wiadomość przyjąć.

Jedna Leonka najmniej była zakłopotana. Cieszyła się rodzicami, rodzeń-

stwem, a na Romana zwracała dużo mniej uwagi. Traktowała go jak gościa, którego chce bardzo dobrze przyjąć, jak brata przybyłego na wakacye, ale nic więcej. Przedstawiła go wprawdzie, jako narzeczonego, zapomniawszy nawet zapytać, co rodzice na to powiedzą; ale pozatem nie wyglądała na narzeczoną.

W Warszawie rzuciła mu się prawie w objęcia; w drodze tuliła się do niego jak kocię— a tu nagle Roman zeszedł na ostatni plan. I bez niego było komu ją pieścić i kochać. Przechodziła z jednych objęć w drugie: ojciec, matka, siostrzyczka, bracia — uczniaki, wszyscy wyrywali sobie wzajemnie Leonkę, aby się nią nacieszyć.

Ona zaś o tyle tylko pamiętała o narzeczonym, że był gościem, a ona wicegospodynią.

Nieprędko spostrzegła, że Roman patrzy na nią smutnie i zrozumiawszy ten niemy wyrzut, nie znajdowała dla siebie w myśli dość wyrazów potępienia.

— Co za obrzydliwa egoistka ze mnie, myślała, ani dbam o niego będąc wśród

swoich— a on ileż mi okazywał serca właśnie w chwilach, kiedy nikt mi nie dał dobrego słowa.

I pełna skruchy zbliżyła się do Romana z postanowieniem wynagrodzenia tego chwilowego zaniedbania.

Spojrzała serdecznie.

— Czego pan smutny? Pewnie przeze mnie, bom niewdzięczna, niepoczciwa, niewarta takiej, takiej... zająknęła się, wyraz miłość niechciał jej przejść przez usta—dobroci, wyjąkała.

— Nie! patrząc na ciebie, przypomniałem sobie przepowiednie tego żyda z powodu pogrzebu—i straszno mi się zrobiło,

Leonka nie wierzyła własnym uszom. Patrzała pytająco?

— Ty nie wierzysz nigdy w takie przesądy? I teraz nie obawiasz się?

Patrzał w jej oczy badawczo a smutnie.

— Cóż to znowu? Pan chyba żartuje. Wierzyć w takie zabobony! naturalnie, ani chwili się nie obawiałam. I rozśmiała się.

— Tem gorzej dla mnie. Zabobonnym jest człowiek, kiedy drży o coś drogiego. Pragnąłbym, abyś o naszą wspól-

ną przyszłość była aż zabobonną. Ty jesteś trzeźwą i tembardziej mię opanowują złe przeczucia.

Od razu skrucha Leonki i serdeczność dla narzeczonego rozwiały się. Odeszła sztywna i nadąsana.

Jakto? Roman, człowiek postępowy, syn XIX wieku, a jej narzeczony wierzy w takie głupstwa! Jakiż rezultat jego nauki, jeżeli pod wpływem jakiegoś przelotnego wrażenia, umysł jego w stanie porównać się w poziomie z umysłem pierwszej lepszej baby z pod kościoła. Gdzież więc może być mowa wśród nich o wspólnych zasadach, dążeniach, pracy umysłowej, kiedy on wbrew wyrokom wiedzy, będzie ulegał wpływowm niewyrozumowanej wiary.

— Powiem mu, żeśmy się nie dobrali. Lepiej rozstać się teraz, niż całe życie różnić się w najbardziej zasadniczych pojęciach.

Kiedy jednak poszła odnaleźć Romana, aby mu objawić swoje postanowienie, nie było go. Ojciec zabrał go ze sobą na przechadzkę, na miasto.

— Papa chce go bliżej poznać, wybadać, pomyślała Leonka, i od razu zbudziła się w niej obawa, jak też Roman podoba się ojcu.

— Żeby się papa czem nie zraził do niego?— troskała się w duszy. Ale zaraz wróciła świadomość położenia.

— Mój Boże! Przecie teraz to wszystko jedno.

I znowu zawziętość ją ogarniała.

Oto cierpi nad tem, że będzie musiała rozstać się z nim, a cierpi dlatego, że się na nim zawiodła. Zdawało się jej, że się we wszystkiem zgadzają, że będą całe życie dążyć różnemi wprawdzie drogami, ale ku wspólnym celom, a zawsze zdala od tego co pospolite, zacofane, samolubne...

I oto on zdradza taką ciasnotę pojęć, babskie przejęcie samolubnemi obawami i przed czem?—wstyd pomyśleć.

Zdaje się, że to bagatelka! buntuje sama siebie Leonką, kiedy jakiś głos wewnętrzny stara się przed jej krytyką całą sprawę sprowadzić do małego znaczenia— ale całe życie składa się z drobiazgów.

A i w małych rzeczach zdradzają się przekonania.

Na tych ponurych rozmyślaniach schodzi jej popołudnie, które umyślnie spędza samotnie w przeznaczonym dla siebie przez matkę kąciku za parawanem, niby zajęta rozpakowywaniem walizki.

Wieczorem znów niemoże wykonać swego zamiaru rozmówienia się stanowczo z Romanem, gdyż ani chwili nie są sami—a w końcu rodzice bardzo wcześnie dają hasło do rozejścia się na spoczynek, aby „nasi podróżni“ mogli się wywczasować po niewygodach kolejowych.

Nie do wywczasowania się jednak tak wcześnie zabrano Leonkę, okazuje się, ale na konfesatę.

Rodzice oboje z minami poważnemi przychodzą do jej kącika: ojciec ma minę niezadowoloną, matka smutną.

Podczas kiedy matka przyciąga Leonkę i sadza ją przy sobie, obejmując jej głowę i wpatrując się badawczo w oczy— ojciec rozpoczyna prosto z mostu.

— No, moja panno — cóż-to za nowy koncept z tem narzeczeństwem?

— Nie rozumiem papy — odpowiada, ale już podrażniona tonem ironicznym ojca o narzeczeństwie — gotowa go bronić zawzięcie.

— To ja ciebie nie rozumiem. Nie piszesz nic, o żadnym starającym się, waryujesz tam nad jakiemiś naukami, raptem zjawiasz się z gotowym narzeczonym — nie spytawszy, co rodzice na to powiedzą....

— Przecież dlatego tu przyjechał, aby go rodzice poznali....

— Czekaj, daj mi skończyć. Otóż, jak prawdziwa *emancypantka* robisz po swojemu nie pytając...

— Ależ, Ignacy, kiedyż miała czas pytać o radę? tak nagle się to stało...— bronić chce matka.

— Dajcież mi powiedzieć nareszcie. Wiem co mówię. Czy pytała nas, jak się o nią starał ten jakiś Zygmunt, o którym pisała Bielska? nie! Szach, mach, odmówiła—choć to przynajmniej była partya—bylibyśmy pewnie pozwolili, a nawet radzili....

Właśnie domyślałam się tego i dlatego nie pytałam.

— Otóż-to właśnie skutki warszawskiej edukacyi: pyta, kiedy chce, nie pyta, kiedy nie chce. Rozumie się. Ale to było do przewidzenia, więc pomijam. Lecz kiedy nagle, ni ztąd ni zowąd, zjawiasz się z narzeczonym — myślę sobie: przecie wyjdzie za mąz, ustatkuje się, zawsze lepsza jest najgorsza partya, niż ten głupi uniwersytet — a no widać zakochała się, kiedy się tak nagle związała słowem. Tymczasem, czyż oni wyglądają na zakochanych?

Leonka milczała nadąsana, matka zaś odważyła się wtrącić:

— Cóż chcesz? to i dobrze, że Leonka jest reservée....

— A sama przed godziną mówiłaś, że pierwszy raz widzisz takich narzeczonych? wyrwał się prawdomówny p. Ignacy.

— To i cóż? Może inaczej to okazują, ale przecież musi on ją kochać kiedy się żeni — przecież wie, że Leonka posagu niema.

— Żeni! żeni! poczekaj-że, bo to właś-

nie najosobliwsze. Biorę ja jego na rozmowę—aby wreszcie dojść, co zacz i skąd się te amory wzięły, no i wiedzieć, co on ma, prócz tych glinianych bogów, czy bogiń—tfu! Boże odpuść!

Zaczynam jak z człowiekiem poważnym otwarcie, że Leonka uboga — niech nie liczy na posag—ale ja jako ojciec muszę wiedzieć, nietylko czy się oni kochają, ale i z czego będą żyli. A on, pokazuje się, taki sam waryat, jak ona. Oznajmia, że pobrać się będą mogli zaledwie za kilka lat, bo on musi w dalszym ciągu się kształcić, a ona także marzy o nauce—każde więc ma pracować po swojemu, podtrzymując się nawzajem moralnie. No, słyszał kto coś podobnego?

I to nazywa się kochanie?

— A cóż papa chciał? Gdzież w tem dowód, że się nie kochamy?

— Nie rozumiesz się na tem! Gdyby cię kochał, to primo chciałby jednej chwili się z tobą ożenić, powtóre nie pozwalałby ci zaprzątać sobie głowy filozofią, aleby się starał oderwać cię od tego jaknajprędzej, po trzecie nie narażałby twojej repu-

tacyi tem — że będziesz kilka lat na prawach narzeczonej t. j. że nikt inny się do ciebie nie posunie. To mi dopiero kochanie, że będą wzdychać do siebie listownie z dwóch końców Europy! Tfu!

— Właśnie ja tylko takie uznaję. A czy oprócz tego może co papa zarzucić memu narzeczonemu?

— Narzeczonemu! Boże zmiłuj się! Cóż więcej mam zarzucać? Zdaje się dosyć na zięcia, że goły i z przewróconym łbem!

— Zawsze papa o mnie tak samo się wyraża, więceśmy niedobrani,—wybuchnęła Leonka z żalem. Miałam też po co lecieć do domu z takiem utęsknieniem, aby być tak przyjętą!

I rozpłakała się. Miała żal do ojca za takie pospolite traktowanie sprawy jej małżeństwa.

Po każdem słowie ojca przeciw Romanowi bunt jej się wzmagał, uraza do Romana słabła i w końcu całem sercem Leonka stanęła po stronie pokrzywdzonego narzeczonego, widząc we wszystkich za-

rzutach tyleż powodów do kochania go właśnie.

Co było dzikiem dla pana Jasińskiego i godnym nagany, to w oczach Leonki było cnotą, wyższością. Zresztą, gdyby nawet sama widziała w nim co złego, nie chciałaby za nic, aby to widzieli inni.

Krytyczne uwagi ojca chybiły celu — nietylko nie zachwiały serca Leonki, ale je skłoniły stanowczo ku Romanowi.

Teraz już ani myślała mówić mu o zerwaniu, ale przeciwnie marzyła, aby to jutro nadeszło prędzej, aby mogła mu okazać tyle serdeczności, ile czuła w tej chwili.

Mój Boże, chciała zrywać dla takiego dzieciństwa, kiedy go kocha. Czyż przeszkadza jej to kochać rodziców, że oto różni się z niemi w daleko ważniejszych rzeczach. I kiedy ona takie niegodziwe miała względem niego zamiary, on tymczasem w obec ojca stawał po jej stronie pochwalał jej postanowienie co do nauki— a kiedy ojciec nazywał ją waryatką z przewróconą głową, powiedział, że właśnie taką ją kocha i nie chciałby, aby była inną.

A ona mu nie mogła wybaczyć małej słabości nerwów.

Teraz zato słuchała machinalnie peror ojca, ale w duszy roztapiała się w rzewnej tkliwości dla Romana—przyznając pokornie w myśli, że nie jest jego warta.

Ojciec, zniecierpliwiony bezskutecznością swoich dowodzeń, wyszedł gniewny, rzucając na zakończenie:

— Waryatką byłaś, jesteś i będziesz— ale, jak sobie kto pościele tak się wyśpi. Rozumiem odrzucić Zygmunta—ale idź-że za tego, a to i tamto przepadło i to widłami pisano—a ona znów na studentkę wybiera się. To na cóż ludzi durzyć zamężciem?

Widocznie najwięcej ubódł starego zawód. Zobaczywszy córkę z narzeczonym, ułożył sobie w myśli, że przeciez będzie *jak wszystkie:* rzuci naukę, *emancypacyę*, wyjdzie za mąż, dostanie „naturalnego opiekuna“, słowem będzie można przestać drżeć o jej los i o jej opinię—tymczasem los został jak był w zawieszeniu, a opinia jeszcze w większem niebezpieczeństwie.

Już byłby każdemu na pytanie o córkę z dumą i radością odpowiadał: wychodzi za mąż, wesele wtedy a wtedy — tymczasem wychodzi, ale o weselu ani się zająknąć — a natomiast trzeba będzie znów z drżeniem słuchać sąsiedzkich ploteczek o młodzieży w Warszawie, uszczypliwych dykteryjek o studentkach i tak całe lata — aż dziewczyna straci młodość, urodę — jedyne jej wiano i zostanie starą panną, w dodatku emancypowaną.

Matka odczuwała może te same obawy, ale rozumiała Leonkę lepiej, uwagi też jej miały łagodniejszą formę.

— Moje dziecko, ja wierzę, że kochasz narzeczonego. Nie dziwię ci się, bo ze wszystkiego sądząc, to bardzo szlachetny człowiek. To też cieszę się z twego wyboru — ale także ci powiem, wolałabym, abyście się prędzej pobrali.

— I mateczka! Doprawdy to coś okropnego, żeby nikt nie rozumiał związku dusz, małżeństwa serca, umysłów — tylko ciał!

— Owszem, rozumiem związek dusz — ale taki stosunek niemoże dać prawa za-

pełnienia życia pracą i obowiązkami dla tej ukochanej osoby. Ty masz usposobienie uczuciowe, potrzebujesz kochać kogoś lub coś i poświęcać się dla ukochanego przedmiotu. Gdybyś wyszła za mąż, miała dom, dzieci—oddałabyś się całą duszą tym obowiązkom i toby ci dało szczęście—inaczej, będziesz szukała ubocznych celów dla przyczepienia do nich swego gorącego serca — i tego się boję dla ciebie.

— Ja i tak nie myślę poprzestać, jak tyle innych, na tym najbliższym światku rodzinnym: mężu i dzieciach — zawsze chciałabym służyć przedewszystkiem społeczeństwu.

— I to służba, a bardzo ważna. Ale ja cię znam lepiej, niż ty sama siebie. Zdaje ci się, że dopiero wtedy służysz idei, jeśli dla niej cierpisz. Ciebie gryzie żądza poświęcania się, tęsknota do męczeństwa, jak ongi pierwszych chrześcijan. I dlatego obawiam się, abyś nie zmarnowała życia, szukając drogi do ofiary, kiedy na tej pozornie pospolitej drodze

twoja natura znalazłaby najowocniejsze poświęcenia.

— Moja mateczko! kandydatek do małżeństwa są miliony—a na te stanowiska: lekarek, nauczycielek ludowych, ochroniarek i t. p. istot najniezbędniejszych, istot niosących pomoc tysiącom upośledzonych — znajdzie się na tysiąc jedna. Czyż godzi się i te nieliczne zawracać z drogi, pozbawiać ich usług te nieszczęśliwe, wydziedziczone masy? Czyż mateczka przeszkadzałaby mi wstąpić do klasztoru, gdybym czuła powołanie?

I prawda.

Pani Jasińska popatrzyła z żalem na pełną zapału twarz córki ale—dała pokój.

Pomyślała zresztą, że w położeniu w jakiem się znajdują, nie mogą zapewnić dziecku losu lepszego, a że owo narzeczeństwo zawsze usposobi może panią Bielską do tem troskliwszej nad Leonką opieki. Dobra była i ta pociecha w braku lepszej.

Ale pomimo szczerej chęci Leonki, harmonia między nią i Romanem nie wróciła

zupełna. Był z nią serdecznie jak zawsze, ale posmutniał i następnego wieczoru zaraz zapowiedział, że krótko zabawi, bo wstąpiwszy tylko po drodze do Warszawy, wróci zagranicę.

Leonka zdziwiła się, bo tyle razy mówił, że w Warszawie otworzy pracownię.

— Tak, mówiłem — ale w Warszawie nicbym nie zarabiał, albo tyle co nic — a ja teraz chcę prędzej zdobyć materyalną niezależność.

Jakkolwiek nie mówił więcej—rozumiała Leonka, że to wpływ ojca, że Roman ucierpi na tem, iż będzie sztukę naginał do celów pieniężnych, że zwyciężyły zapatrywania filisterskie, iż mąż powinien żonie dać przedewszystkiem—utrzymanie. Mniejsza, czy daje serce i duszę!

Miała też żal za to do rodziców przedewszystkiem, ale i do Romana, że jego męską ambicyę tak łatwo to podbiło.

Kiedy zaś jeszcze słyszała dogadywania ojca, umyślnie półgłośne — żal jej zalewał serce.

Pan Jasiński przy każdej sposobności

mruczał do żony, która brała Leonkę w obronę:

— Czule dla nas córka usposobiona, niema co gadać! przyjechała i chodzi jak mruk.

— Zakochana? Akurat! Nigdy nie miała serca! Dawniej milszy jej był nad rodziców byle zadrukowany szpargał, a teraz to malowane małżeństwo!

To też jeżeli Leonka została jeszcze przez święta w domu, to tylko dlatego, aby ojciec nie pomyślał, że śpieszy zastać Romana jeszcze w Warszawie.

Została, ale czuła się w domu tak obcą, jak nigdzie. Tkliwe jej uczucia zostały zranione dotkliwie i zażalone serce skarżyło się żałośnie: „Nikt mnie już nie kocha, nawet najbliżsi.“

Po kilku dniach nadeszły listy od Romana, pisane na wyjezdnem z Warszawy: do rodziców z pożegnaniem a do Leonki pełen tak gorących słów miłości — że po nim nie miała prawa mówić: nikt mię nie kocha.

Odczytywała list po razy kilka, płakała nad swoją dla Romana niewdzięcznością

i o zgrozo! schowawszy się w najciemniejszy kąt domu, całowała gorąco te kartki, zapisane jego kochaną ręką.

— Tak, on jeden ją kocha i rozumie, mówiła sobie. — Będzie miała do kogo zwracać się z każdą myślą i uczuciem. Będą pisywali do siebie często, często. On jej zastąpi wszystkich, którzy ją odtrącają...

Zaraz też zaczęła się wybierać z powrotem do Warszawy.

W duszy liczyła na to, że ją będą rodzice zatrzymywali, że przy rozstaniu zmiękną im serca i uznają, że ją niesprawiedliwie sądzili — ale myśl, że byli dla niej niesprawiedliwi, że ona jest pokrzywdzoną, odbijała się w wyrazie jej otwartej twarzy, nie usposabiając rodziców ku zgodzie bynajmniej.

— Ot, jak z lekkiem sercem wyjeżdża, choć wie, że nas obraziła. Namurmuszona jak licho! Korona by jej z głowy nie spadła, żeby przeprosiła rodziców.

Leonka nie uznawała, żeby miała za co przepraszać, więc zaciszała się w swoim żalu.

Chwilami tkliwość ją ogarniała, chciała biedz, rzucić się matce do kolan i wypłakać cały swój żal—ale potem przychodził jakiś chłód, odsuwający ją od wszelkich porywów.

— Czegoż właściwie pójdę? przecie nic między nami nie zaszło! Że papa gderze i gada niesprawiedliwie? robił to zawsze. Nic mu złego nie zrobiłam. A tylko czy ja wiem?

Oni się zrobili jacyś inni — czy ja się tak zmieniłam— że już mię tak nie będzie ciągnęło do domu, jak dawniej.

Myliła się jednak. Kiedy się znalazła znów w Warszawie, w zgiełku wielkomiejskim uczuła ogromną tęsknotę za swoimi. Tam się na nią dąsano przez miłość — tu po prostu nikt nie zwracał uwagi. U pani Bielskiej był ten sam zawsze pracowity zamęt. Przy powitaniu wprawdzie wzmiankowano o nowej jej roli w ich kółku, ale nie w sposób, któryby chwytał za serce.

Ciotka widać stale ją miała za ofiarę Romana.

— Cóż? nasz artysta wyperswadował ci, że najdonioślejszą pracą dla społeczeństwa jest wyjść za mąż, i to za niego? No, sądzę żeś czegoś lepszego warta. Ale zresztą, czy ja wiem, tyle razy się już na kobietach zawiodłam! Jednak jeszcze nie tracę nadziei, że z ciebie będzie pociecha.

Adam swoim zwyczajem wdawał się w niesmaczne żarty:

— Panna Leonia miała zawsze zamiłowanie do nauk przyrodniczych, więc zakłada laboratoryum fizyologiczne.

Stefan upominał się, że na mocy nowych związków braterskich powinni „dać sobie buzi i mówić sobie ty.“

Leonka nie odpowiadała nic, ale była głęboko dotknięta.

— Czego-to wszyscy chcą od niej? W domu miano jej za złe, że dla narzeczonego nie rzuca nauki i nie ciągnie go czemprędzej przed ołtarz; tu znów uważano, że sama myśl z jej strony o małżeństwie, była sprzeniewierzeniem się społecznej roli. A jak tam czynnie nie przykładano ręki do umożliwienia swoich żądań, tak i tu nikt jej nie pomagał wywal-

czyć sobie miejsce w zastępie pracownic, wszyscy mieli tylko słowa krytyki i górne od niej wymagania.

Dobrze! ona kochą naukę, społeczeństwo, gotowa poświęcić się dla tych haseł, ale czyż jej nie wolno przytem mieć na świecie jedno kochające serce — tylko dla siebie?

To też stosunek wytworzył się taki, że Leonka zamykała się w sobie, a domowi dokuczali jej, ile się dało, w pobożnej intencyi nawrócenia na dobrą drogę.

Na szczęście mało przebywali razem, bo Leonce przybywało lekcyi, a wolne wieczorne godziny przesiadywała nad książkami, ucząc się łaciny i greczyzny.

Potem przyszedł gorączkowy czas egzaminów studenckich i uczniowskich i cała gromadka domowa, żyła tylko myślą o takowych.

Listy od Romana do Leonki przychodziły często. Były długie, pełne opisów miejsc i rzeczy godnych widzenia, ciekawe więc ale i czułe, zaczułe, podług Leonki, na listy postępowego narzeczonego.

Ona w swoich odpowiedziach nigdy nie

dopuszczała się najmniejszej czułości: uważałaby to za sentymentalizm i wstydziła się sama przed sobą za Romana, że występował w tej roli trubadura.

Za nic nie chciałaby, aby ktoś z młodych czytał jego listy; to też starannie chowała się z niemi.

Ale kosztowało ją to, bo oto Adam odbierał też listy ze Żmudzi od Izy, a czytał je głośno i nie narażał się na śmieszność.

Listy Izy były to prawdziwe artykuły naukowe, przysyłane do cenzury narzeczonego.

Iza nazbierała wiadomości z medycyny ludowej i opatrzywszy komentarzami udzielała ich Adamowi; zbierała zioła lecznicze nowe i przysyłała do rozbioru w laboratoryum uniwersyteckiem.

Poza tem ani słowa czułego; żadnych sentymentalnych frazesów; uczenica do profesora, albo kolega do kolegi nie mogliby inaczej pisywać.

Leonka zdumiewała się i zazdrościła. Przytem czuła się upokorzoną. Ona tak zawsze źle sądziła Izę. Miała ją za gąskę,

kokietkę—tymczasem ta Iza z listów była zupełnie inna.

Naiwna Leonka nie domyślała się, że Iza była otrożna tylko, mając już raz z pensyonarskich czasów smutną przeprawę z matką i babką z powodu listów zbyt czułych, kursujących po całym fakultecie koleżeńskiego adresata, a korepetytora Izy.

Ale też epistoły Romana pełne rozpraw o sztuce, opisów natury, filozoficznych rozpraw—jak prawdziwe wieczory florenckie, tyle miały między wierszami miłości a tyle prócz tego zwrotów w rodzaju: jedyna, najmilsza, ukochana i t. p., że Leonce przykro było, iż *jej Roman* nie zdobył się na taki *wysoki ton* jak Iza.

.Przez pierwsze kilka miesięcy starała się tylko przykładem oddziałać na styl Romana i studziła swoje listy do niemożliwego stopnia. W końcu doszła do tak kronikarskiej suchości, że Roman się spostrzegł, ale rezultat był odwrotny temu, jaki sobie zamierzyła Leonka.

Zaczęły się wymówki o obojętność, desperackie wybuchy, że go nie kocha, za-

zdrośne posądzenia — a wszystko to wyrażone płomiennym stylem miłości.

Roman, zdala od narzeczonej, pod wpływem poetycznej swej wyobraźni, idealizował ją sobie coraz bardziej i z każdym dniem kochał goręcej. Że zaś był młody, a nie wyszafował porywów serca po przybytkach łatwych miłostek, bo go od tego broniło wrodzone estetyczne poczucie, więc i zmysły były pod wrażeniem różowego buziaka i szafirowych oczu *polskiego typu*.

To też na myśl o zobojętnieniu Leonki strach go ogarnął i najczulszemi słowami, całą potęgą wymowy miłości, chciał rozgrzać jej serce.

Ale Leonka oblała go zimną wodą, odpisując w najbardziej lodowaty sposób, że się widocznie nie rozumieją, że ona się nie zmieniła, ale on, bo z braterskiego związku umysłów i serc, chce stworzyć jakiś średniowieczny romans, do którego ona nigdy nie miała skłonności. Że ją nawet obraża forma jego listów, bo nie ma w sobie materyału na haremową kobietę. Po wysłaniu listu, żałowała już Leonka

tych bezwzględnych wyrazów i zła była na siebie, na Romana, cały świat—a najwięcej na to, że zamiast mówić, musi pisać.

Gdyby tu był on, przecież umiałaby powiedzieć mu to wszystko inaczej—w mowie łatwiej zachować granicę między serdecznością, a sentymentalizmem; ale w liście zawsze nie to napisze, coby chciała—ze strachu przed czułostkowością wpadła w szorstkość.

Tymczasem Roman zdumiewał się nad listem.

— Obrażają ją moje słowa? Cóż tam było? Mówiłem to wszystko sto razy, w dodatku obejmując ją i tuląc do siebie to wtedy się nie obrażała? Co to jest? Nic, tylko mię już nie kocha.

Ale tymczasem nadeszły wakacye. Wszyscy się rozjechali, oprócz Leonki, która postanowiła zostać pod wpływem nowego projektu.

Jedna z pań, gdzie dawała lekcye, była opiekunką dziecinnego szpitalika i mówiła kiedyś, jakiem dobrodziejstwem są dla chorych doświadczone, praktyczne siostry

miłosierdzia, nawet w porównaniu z doskonałymi lekarzami.

— Lekarze dają wiedzę, ratują życie tych biedaków, ale jakże często niezgrabnie biorą się do opatrywania chorych; za mało mają praktyki. Bo i kiedyż, tyle czasu używając na studya, mogą ćwiczyć się w tych pospolitych, a tak czasem ważnych manipulacyach.

— Kobiety-lekarze będą łączyły te oba względy, utrzymywała Leonka, bo już z natury mają więcej zręczności w obchodzeniu się z chorymi. Oby tylko prędzej było ich więcej, tych lekarek!

— I kobiety będą równie niezręczne, jeżeli nie będą odbywały specyalnej praktyki szpitalnej przy chorych.

Myśl trafiła do przekonania Leonce. Dopytywała się, czyby nie można dostać się na taką praktykantkę i za protekcyą owej pani jako opiekunki, uzyskała pozwolenie.

Duch w nią wstąpił. Oto znów będzie pracowała *dla przyszłości*, bo rzeczywiście, jak jej to pomoże w przyszłych stu-

dyach— a przytem może i zaraz być użyteczną.

Z największą przyjemnością wyrzekła się wakacyi, aby wolne od lekcyi godziny spędzać na posługach przy chorych.

Z początku „siostry" z niedowierzaniem patrzyły na tę młodą dziewczynę, przyszłą studentkę medycyny, jak ją przedstawiła opiekunka.

W ich mniemaniu taka kandydatka powinna była mieć obcięte włosy, pince-nez i papieros w ustach.

Długie, gładko uczesane, warkocze Leonki, układ nieśmiały i oczy nieprzysłonione pince-nez, ale patrzące z miłością na biedne wychowanki szpitala, jak na chore rodzeństwo, usposobiły życzliwiej dla niej.

Pod koniec zaś wakacyi, kiedy Leonka zapowiedziała, że już na krócej tylko będzie mogła przychodzić, bo uczenice jej się zjeżdżają—*siostry* wyraziły ubolewanie nad stratą tak doskonałej pomocnicy, a dzieci podniosły lament.

Leonka, kierując się uczuciem litości, obrała sobie sama salę, na której chciała

posługiwać: oddział chirurgiczny, gdzie maleństwa skazane były na tak straszne cierpienia, najwięcej budził w niej współczucia. Zdawało się jej, że tam najwięcej może przynieść ulgi, wysilając się na jak najdelikatniejsze opatrywanie ran, układanie chorych członków, zresztą na zajęcie uwagi pacyentów ciekawemi opowiadaniami, aby ich oderwać od cierpień. I rzeczywiście udawało się jej to w zupełności.

Dzieci polubiły jej *lekką rękę* przy opatrunkach, a wesoły głos przy opowiadaniach.

Były to przeważnie dzieci ubogie, które się mało albo nic nie uczyły, którym nie było komu opowiadać ani czarodziejskich baśni, jak wiejskim dzieciakom, ani nauczających powiastek, jak dzieciom bogatych rodziców.

A większość ich, choć unieruchomiona kalectwem lub wypadkiem, głowiny miała zdrowe i nudziło je leżenie w cichej sali.

To też każdego opowiadania Leonki

słuchały z zachwytem i zdawało się, że mniej cierpią.

Całe wakacye Leonka czuła się tak wesołą i szczęśliwą, jakby już się znalazła u celu marzeń.

Zaraz się to odbiło i na korespondencyi z Romanem. Nie czekając jego odpowiedzi na ów szorstki list ostatni, napisała do niego, chwaląc się swojem nowem zajęciem; a nastrój pogody i zadowolenia odbił się w tonie listu mimowolnie.

Opisywała mu wesoło miny zgorszone *sióstr*, jak posłyszały o *studentce*, potem zdziwienie, że ona nie wygląda na dziwoląga. Dalej następował rozrzewniający opis biednych, chorych dzieciaków i wreszcie wybuch uszczęśliwienia Leonki, że ona *nakoniec* po tylu mękach takiego bezmyślnego życia dla zarobku, teraz czuje dopiero, że robi coś dla drugich, że jest użyteczną na świecie.

Roman zaczął sobie robić gorzkie wyrzuty.

— Egoista jestem! erotoman jestem. Ona tam biędactwo gryzła się, nie znajdując pola do działania dla swego wielkiego

serca—a ja ją podejrzywałem, prześladowałem miłosnemi deklamacyami, godnemi tenora opery. Moje biedactwo kochane! I naturalnie korespondencya przybrała na jakiś czas odpowiednie zabarwienie.

Więc były plany przyszłości, gdzie Leonka stała na czele szpitalika na prowincyi, bo jeden w Warszawie nie jest w stanie na cały kraj wystarczyć; on zaś dlatego będzie pracował, aby jego najmilszy *dzieciak* mógł szafować wszelkie dobrodziejstwa dla najnieszczęśliwszych.

Był opis szczegółowy takiego dziecinnego szpitala w mieście, gdzie w tej chwili Roman przebywał; zwiedzał ten zakład, aby Leonce przesłać szczegóły dla porównania. Tylko *siostry* były inne, bo szpital był protestancki, więc się nie widziało białych kornetów, tak znanych u nas w Warszawie, tylko białe również czepki, nadające siostrom bardziej świecką cechę.

Potem znów w którymś liście była wiadomość, że podobno wkrótce mają być otwarte austryackie uniwersytety dla kobiet, co bardzoby ułatwiło Leonce studya.

Słowem korespondencya weszła na tor

pożądany przez Leonkę: przyjacieiskich pogawędek listownych.

Dzieliła swój czas między zarobkowe lekcye, pielęgnowanie chorych i kucie języków starożytnych, jako najmilsze wytchnienie, mając od czasu do czasu listy Romana, które odbierała zawsze z radością i czytała z rozrzewnieniem, bo niemiała się przed kim wstydzić swojej słabości.

Z rodzicami także nastąpiła zgoda— bo Leonka niebo miała w duszy całe wakacye i skłonną była do ustępstw.

Ale nic trwałego na świecie. Szczęśliwe wakacye minęły i powoli Warszawa napełniać się zaczęła, a więc i lokal pani Bielskiej zaludnił się zwykłymi mieszkańcami.

Najpierw zjechała ciocia, aby być pierwszą na stanowisku. Spędziła lato w majątku synów i wróciła z tej willegiatury z odświeżonym zasobem energii, oraz z widomymi śladami swej pracowitości, w postaci ogromnych zapasów najprzeróżniejszych konserw spiżarnianych.

— Widzisz, co nawiozłam? —chwaliła się Leonce. Byłabym jeszcze nasuszyła

więcej owoców i grzybów, bo teraz najlepsza pora, ale śpieszyłam się, aby tu wszystko do porządku doprowadzić, nim się ta moja mała hałastra zjedzie.

— Ja tu, ciociu, wszystko z Marcesią uporządkowałam, proszę patrzeć, podłogi pozaciągane, firanki czyste, meble potrzepane, okna pomyte.

Leonka czekała zdziwienia i podziękowania.

— Patrzajże! wszystko zrobiłyście! no, to i dobrze. To szkoda, żem pośpieszyła, bo sama pora, a moi szanowni synowie nie domyślą się, coś pożytecznego zrobić, choć tam będą siedzieli z tydzień próżnując. Wiadoma rzecz! Toć i tu żadenby nie sprzątnął, żeby został na gospodarstwie. Już to pracować naprawdę, to tylko kobiety umieją.

— Co też ciocia mówi? A wieśniacy w polu? Ponieważ już ciocia tylko uznaje ową fizyczną pracę, to właśnie wzór jej — mężczyzna rolnik.

— Ot, widzisz, że i to nie. Mimochodem powiem ci, że tak mi to Warszawisko obrzydło, a tam na wsi znów jak chłopcy

obejmują to na siebie, tak trzeba czyjejś ręki i oka, że ja tu długo nie wysiedzę, najwyżej rok ten. Ale wracając do pracy męskiej— otóż na wsi przy roli, oni robią mniej niż baby. Bo męska robota przeważnie dokonywa się sprzężajem — orać, bronować, radlić, wozić nawozy; to wszystko robi koń i wół, za babę zaś żadne zwierzę nie dokona jej pracy. Ona piele, kopie, sadzi, pierze, gotuje, robi porządki, doi krowy, karmi trzodę, drób, przędzie, tka, szyje — a na roli: roztrząsa nawóz, grabi siano, żnie zboże i w dodatku do tego wszystkiego rodzi, karmi i wychowuje dzieci.

Leonka śmiała się na cały głos.

— No i czegoż się śmiejesz? czy może nieprawda?

— Może prawda, ciociu, ale mnie tak bawi, że ciocia gdzie się ruszy, to tym biednym mężczyznom łatkę przypnie. Od wieków wszyscy włościan nazywali żywicielami całego kraju— teraz pokaże się, że oni próżniaki, a tylko baby żywią społeczeństwo.

— Śmiej się sobie—a ja mówię swoje.

We wszystkich sferach kobiety są wyzyskiwane przez mężczyzn — jedna tylko warstwa rzemieślnicza pod tym względem stanowi wyjątek. Tam podział pracy najrówniejszy.

Pani Bielska wpadła na swój ulubiony temat i usta się jej nie zamykały, ale przyznać trzeba, że pomimo to ręce żwawo się krzątały, rozpakowując z pomocą Leonki i Marcesi całe stosy suszenin, konfitur, fasek z masłem, serów, marynat i t. p.

Kiedy już ustawienie tych skarbów miało się ku końcowi, a raz na temat feminizmu myśl pani Bielskiej nakręcona została, z kolei wpadła na pytanie o Romana.

— Cóż tam Roman pisze do ciebie? bo od kiedy myśli, że przez ciebie wiemy czy żyje, to nie zadaje sobie fatygi pisywać do matki.

Leonka przypomniała sobie, jak dawniej każda jego pamięć o matce była nazywana mazgajstwem, ale zmilczała, tylko zaczęła opowiadać krótko o Romanie, a dłużej, dla zatarcia zmieszania — o sobie i swoich zajęciach w szpitalu.

— Bardzo dobrze zrobiłaś. Oto żeby tak praktykowali nasi panowie medycy, zamiast wolne chwile spożytkowywać na piwo, bilard albo i co gorszego!

Teraz ty, przy takiej praktyce, jak skończysz medycynę, to niech się schowają w kąt męskie znakomitości. Wiedza lekarza ze zręcznością szarytki, to dopiero korona dzieła!

W Leonce serce rosło. Nie ździwiła się, że ciotka tak nagle znowu uwierzyła w możliwość wyższych studyów Leonki, kiedy poprzednio uważała je już za niepodobne.

— Wie ciocia? Podobno wkrótce otworzą austryackie uniwersytety kobietom! A wtedy, naturalnie nic łatwiejszego jak mnie się tam dostać. Choćby o chlebie i wodzie to przetrwam, a na tyle przecież zarobię lekcyami w Galicyi wśród swoich. Prawda ciociu?

— Rozumie się. Byleś na początek miała trochę pieniędzy, a potem znajdą się lekcye. Czy to jeden student niema z domu ani grosza, choćby i tu w War-

szawie, a przecież jakoś żyje i uczy się. Kobiety zaś wytrwalsze i oszczędniejsze.

— Na początek będę miała. Uzbieram sobie. Byle tylko otworzyli już te uniwersytety.

— Ależ pewnie otworzą! Wszakże i w ministeryach czasem są ludzie z głową.

I Leonka pełna znów zapału, nadziei, snuła projekty przyszłości. Pieniądze będą. Teraz traciła dużo z zarobionych na różne niespodzianki dla chorych dzieci w szpitaliku, aż jej „siostry“ robiły uwagi, że psuje tę dzieciarnię, bo daje im to, co niezawsze potem mieć mogą — ale teraz już nie będzie robiła tych zbytków, bo trzeba składać pieniądze na przyszły wpis i pierwsze koszta w Krakowie czy Lwowie.

— Nie będę już tym biedactwom nic kupowała, mówiła do siebie wybierając się do szpitalika. Ale tak znów nagle przestać, jakże im byłoby przykro? Nie, kupię dziś coś bardzo taniego i mniej.

Natychmiast po rozmowie z ciotką, pośpieszyła podzielić się z Romanem swemi dobremi wrażeniami. Tak już przywykła pisać mu wszystko, że radość jej nie wy-

dawała się zupełną, a smutek cięższy, dopóki nie podzieliła ich ze swym narzeczonym. Pochwaliła mu się z projektem robienia wielkich oszczędności i poskarżyła, że musi zacząć od takiej niegodziwości, jak pozbawienie zwykłych podarunków swoich małych pacyentów. Pisała długo, serdecznie; wygderała go za niepisywanie do matki, dodając: wie pan, ciocia jakby troszkę zazdrości mnie, że ja miewam listy. Tak mię to ubawiło. Jakoś sobie nie mogłam dotąd wyobrazić siebie w roli synowej cioci.

Tak się z ciocią kochamy, że mi trudno wystawić sobie, że to świekra i synowa — ale dziś ta zazdrość o pana dała mi poznać przyszłą moją rolę. Ale co dziwne, że mię to tylko ucieszyło. Zawsze mię cieszy, jak się ciocia zdradzi z miłością dla swego pierworodnego. Ale to także nienaturalne na synowę — prawda?

Pierwszy to raz w liście, Leonka z taką swobodą mówiła o ich małżeństwie. Czy dlatego, że mając głowę nabitą uniwersyteckimi projektami, spoglądała na tę przyszłość, jako na coś oddalonego o ta-

ką ilość semestrów—czy, że jej było wesoło, więc pod tym wpływem zapomniała o zwykłej swej drażliwości — dość, że zaczepiła o temat omijany zwykle starannie.

Ale Roman w odpowiedzi temat podniósł i to w sposób niefortunny dla zobopólnej harmonii:

Wspominając o zamierzonych jej oszczędnościach pisał, jaką rozpaczą przejmuje go myśl, że jest bezsilny wobec jej planów, że jeszcze tak mało zarobił, iż nie może spełnić tego, co byłoby jego obowiązkiem i zarazem najwyższą rozkoszą. Oto wziąć sobie na zawsze tego najdroższego dzieciaka, nie dać mu latać po zarobkowych pracach, ale otoczyć miłością, wygodą, dostatkiem, ba! zbytkiem nawet i jak troskliwy tatuś swoją pieszczochę wyprawia swoim kosztem do szkoły i odprowadza za rączkę, aby jej zła przygoda nie spotkała — tak odprowadzać samemu swoją ukochaną Leonkę do wymarzonego przez nią celu — usuwając jej z pod stópek wszystko co jest: troską, kłopotem, prozą życia. — Kiedy sobie pomyślę, że oto wziąłbym, zdaje się moje ukochanie

w ramiona i nie pozwolił, aby stopami dotknęła brudnej ziemi, otuliłbym, aby wietrzyk nie zawiał, słońce nie paliło, zimno nie przejęło — nosiłbym w zanadrzu, jak skarb najdrogocenniejszy, aż oto ten mój skarb, ta moja dziecina, boryka się sama z przeciwnościami, walczy o te przebrzydłe pieniądze— a ja patrzę na to i nic poradzić nie mogę — rozpacz mię taka ogarnia i taka na siebie złość, że od zmysłów odchodzę.

Com ja wart? co to za mężczyzna, który ukochanej kobiety nie może zasłonić przed niedostatkiem, pracą, walką o byt? Dlaczego ja nie mogę zaprządz mojej sztuki do jakiego pługa, któryby wygrał skarby dla ciebie, moja ty dziecino najmilsza?"

Tymczasem już obaj studenci wrócili ze wsi i właśnie rozmawiano o planach Leonki, która teraz nabierała lekcyi, ile się dało, nie zważając ani na wielkie odległości ani na późne godziny, byle jak najwięcej godzin dnia sprzedać za wymarzone pieniądze. System ten denerwował ją i osłabiał widocznie, ale podniecona jedną myślą, ani dbała o odpoczynek.

Adam ze stanowiska lekarskiego ostrzegał, ale p. Bielska widząc ożywioną twarz, błyszczące oczy i rumieńce Leonki, podtrzymywała ją, mówiąc, że dla takiego charakteru niema jak wytężona praca, że u niej od zdrowia duszy zdrowie ciała zależy, nie odwrotnie. Leonka była naturalnie tegoż zdania.

Listów od Romana nie było kilka tygodni, bo wyjeżdżał gdzieś na studya, więc Leonka była niespokojna i kiedy przyniesiono nareszcie kopertę z zagraniczną marką i znanym charakterem, twarz jej nie umiała ukryć wzruszenia.

Adam i Stefan rzucili się na list, jak na zdobycz ze śmiechem i przekomarzaniem się.

— O, kiedy taki efekt wywołują na pani listy to musimy je zbadać! No, no, to dopiero romansowa para. Panno Leonio, wyście oboje spóźnili się z przyjściem na świat, omal nie o całe stulecie!

— Eh, nie tyle, wprost o pół wieku. Nadaliby się na bohaterów Słowackiego. Jakbym widział co Roman pisze. Ubolewa, że taka nadziemska istota zajmuje się

ziemską pracą, zamiast w poetycznem rozmarzeniu i estetycznej bezczynności przyjmować u stóp swych hołdy wielbicieli.

Leonka była zmieszana, ale i zła. Przy zdenerwowaniu niedaleko już jej było do łez. Ale walczyła z sobą i nie chciała pozwolić, aby żartowali sobie z Romana.

— Proszę mi zaraz dać list. Pan Roman nigdy takich banialuk nie pisze, jak panowie podejrzywacie. Pewnie jemu nie tyle w głowie amory dla mnie, co panu dla Izy.

— Oho! tylko, że ja sobie człowiek trzeźwy, medyk, pozytywista, Iza też — wiemy oboje, co to jest, co się miłością nazywa. Nie chcemy być mędrsi od całego szeregu prarodzicielskich form, które uprawiały i uprawiają ten proceder—a wy przebieracie się za romantyków i lokujecie źródło swoich sentymentów w sercu, kiedy tu serce niema nic do roboty. I Roman nie lepszy ode mnie, ani pani od Izy tylkoście hypokryci.

Wszystko mówił z cynicznym śmiechem, wywijając listem w powietrzu, a Le-

onka, to bladła, to czerwieniała z oburzenia.

— Dlaczegoż pan przy Izie nie śmiałby tego mówić? a mnie obraża słuchanie tych niedorzeczności — wolę wyrzec się listu, niż tu zostać.

I zerwała się z krzesła. Ale Adam zabiegł jej drogę.

— Ja, przy Izie nie śmiałbym! To zabawne. Nie mówię, bo się rozumiemy i bez tego. Zresztą to kwestya, o której wróble na dachach mają pozytywniejsze pojęcia, niż pani. List oddaję, tylko notuję sobie, że się na pani zawiodłem, z takiemi ideami bliżej pani do klasztoru, niż na medycynę. Tylko, że to przejdzie. Inaczej żałowałbym Romana — bo choć to i Mickiewicz i Krasiński wiele pisali do swych kochanek o duszach i sercach—ale jednak jakoś później... te nadziemskie istoty... no, ród na nich nie zaginął.

Tego Leonce było zawiele. Rozpłakała się tak, że przestraszony, aby matka nie nadeszła, Adam oddał jej prędko list i wymknął się do swego pokoju.

Leonka długo nie otwierała listu, zna-

lazłszy się sama, słowa Adama i lekceważący cynizm jego wzburzyły ją niesłychanie; w pierwszej chwili chciała wynieść się od ciotki, aby nie być narażoną na jego gburowate koncepty—potem jednak uznała, że upokorzy go więcej, traktując z góry, nie zwracając wcale uwagi na jego obecność, do czego ma prawo, jako płatna lokatorka jego matki. Zresztą trzeba się uczyć panować nad sobą. Wiedziała dobrze, że wśród przyszłych kolegów czekają ją niejedne takie cięgi. Trzeba się nauczyć puszczać mimo uszu tłuste koncepty, nieprzyzwoite przycinki, udawać, że się nie słyszy lub nie rozumie dwuznaczników. Obcowanie z Adamem to szkoła przygotowawcza do tego, co ją czeka pod macoszemi skrzydłami *almae matris*.

— Przebrzydłe chłopczysko! jak ta Iza może go znosić? A może i prawda, że oboje siebie warci, dobrali się. A ja ich sobie za wzór stawiałam i Romanowi. To dopiero porównanie do mojego Romana! Szkoda, że im niedałam na niewidziane przeczytać tego listu. Niechby się za-

wstydzili swoich barbarzyńskich instynktów, czytając nasze braterskie pogawędki.

I rozczulona, ale uspokojona zabrała się do listu.

Ale jak wielką prawdą jest to, że wielka cnota i niewiadomość mogą bezkarnie ocierać się o występek — tak też brudna myśl raz rzucona, kiełkuje jak ziarno i zatruwa najczystsze skrytki mózgu.

Dawniej w słowach listu Romana, dostrzegłaby tylko może Leonka chorobliwą tkliwość, sentymentalizm nie męski, albo, powtarzając wyuczone od ciotki frazesy w dalszym ciągu—nawet mazgajstwo—teraz zatruta słowami Adama widziała w tych wyrazach wybuch zmysłów, w troskliwości o jej spokój—zamach na swą kobiecą godność i pierwszy raz była już nie zagniewana, czy zniecierpliwiona, jak dawniej po sentymentalnych frazesach — ale zniechęcona.

Gniewały ją zwroty listu o wymarzonem „wzięciu ją w ramiona i utuleniu od wszelkich trosk i podejrzywała w nich to, co dotąd na myśl jej nie przyszło.

Zdawało się jej, że się na Romanie za-

wiodła — że oto, widać, prawdą jest, że nie lepszy od Adama.

Pod świeżem wrażeniem usiadła do listu i z całą pasyą wylała na papier szereg wyrazów, mający zdruzgotać tę hydrę zapałów Romana.

— ,,Niech pan będzie łaskaw pozwolić mi inną rolę sobie przeznaczać w życiu, niż ta opisana w ostatnim liście. Może panu pochlebia stereotypowe ucharakteryzowanie się na dąb, ale ja nie nadaje się na głupi bluszcz i jeśli pan tak mię ocenił, to mię pan nie zna. Może to bardzo poetyczne zrobić ze mnie „das ewig weibliche“, ale nie zgadza się z moim arcy-nie kobiecym charakterem. Wypada, aby pan zawczasu wiedział, że ja, jeżeli wyjdę za mąż, to nie jako niepełnoletni dzieciak, któregoby wodzono za rączkę i może karcono za przewinienia ani jako kobieta —niewolnica, oddająca swoje *ja* panu i władcy wzamian za strawę i odzież—ale jako kobieta-człowiek niezależna moralnie i materyalnie od nikogo.''

List cały był w tym tonie: zły, zjadliwy i patetyczny. Leonka twierdząca, że ma

arcy-nie kobiecy charakter, tem pismem stwierdziła dokumentalnie swoją kobiecość. Jeszcze bardziej zaś tem, że list wyprawiła natychmiast, na gorąco, a już nazajutrz żałowała swego pośpiechu. Odczytując zaś potem kilkakrotnie list Romana, przez kilka z rzędu wieczorów, spędzonych samotnie, bo unikała domowego towarzystwa, zmęczona, smutna, potrzebująca życzliwego serca—coraz mniej w nim znajdowała podsuniętych przez Adama myśli, a coraz więcej serdecznego ciepła.

Pierwszym jej popędem było napisać drugi raz, przeprosić za te szorstkie i głupie słowa—ale fałszywy wstyd wziął górę.

— Pomyśli, że mu się narzucam, że koniecznie chcę wyjść za niego i boję się go utracić! A znów, jakże się usprawiedliwić z tamtego listu, niemogę przecież pisać, co wygadywał Adam i co mię tak obeszło. Poczekam, co on odpowie.

Roman zaś rzeczywiście wziął list do serca i przypisywał go, albo chorobliwemu rozdrażnieniu Leonki z nadmiaru pracy i w tym celu napisał do matki, zapytując o stan zdrowia i usposobienie Leonki

albo zobojętnieniu jej w uczuciach dla siebie i z powodu wewnętrznej rozterki szukanie przyczyn zobojętnienia w jego niepopełnionych winach. To ostatnie podejrzenie otwarcie jej wyjawił.

— Tak ten list niepodobny do ciebie — pisał, taką maluje rozterkę, w której się pasujesz—że budzi we mnie myśl, iż mię już nie kochasz, a szukając przyczyn tej zmiany uczuć i nie chcąc jej widzieć w sobie, dopatrujesz we mnie win, któreby uspokoiły twoje sumienie.

Tak mi ciężko być w takiej chwili zdaleka od ciebie. Przecież dośćby mi było spojrzeć w twoje szczere oczy, droga dziecino, aby wiedzieć, co nas rozdziela. Ale ty i tak będziesz szczerą: odpiszesz mi prawdę, czy przekonałaś się, żem ci niemiły i mam sobie odejść— czy tylko życie codzienne zmęczyło moją dziecinę, i wyprowadzona z równowagi „spędziła złość“ na mnie, mówiąc trywialnie. O, gdyby tak było, myślisz, że miałbym ci za złe? Czyż matka się gniewa, jak chore dziecko uderzy ją podrażnione?

— Otóż-to, wiecznie tylko dziecko i dzie-

cko!—mówiła do siebie Leonka po odczytaniu listu, chowając go z miną zawiedzioną i niechętną do kieszeni, — on mię zawsze traktuje jak dziecko, albo osobę niepoczytalną. Ponapisywałam mu przecież prawie impertynencye —a on się nawet nie obraża. Żebym go wytłukła, to chybaby także troszczył się, czy mię to nie sfatygowało. To więcej niż ten pan, który na widok żony bijącej sługę wołał: nie forsuj się duszko!

No, i co ja teraz napiszę? Wymaga kategorycznej odpowiedzi: kocham— nie kocham. Za nic w świecie tego nie napiszę. Przecież nie mogę całego traktatu pisać, jak miłość rozumiem — a odpowiadając krótko musiałabym odpowiedzieć—nie — co także byłoby tylko pół-prawdą.

Nie pisała też dość długo, uspokojona, że i tak Roman się nie gniewa za list ostatni —a potem zapomni może, czego żądał od niej — ona napisze list zwykły i tak to znów się utrze.

Tymczasem jednak baczne oczy pani Bielskiej miały Leonkę w ciągłej obserwacyi. Nie uszło jej uwagi i dawniej zmie-

szanie Leonki przy każdem odebraniu listu, i niezadowolona mina i lekceważący ruch przy wsunięciu ostatniego listu do kieszeni i długie milczenie listowne i unikanie rozmowy o Romanie, a bardzo ożywiony wyraz twarzy przy każdej wzmiance o przyszłych studyach.

W końcu chcąc Leonkę wybadać, ciotka zapytała, jak dawno pisała do Romana.

— O już dawno! — odpowiedziała i zaczerwieniła się jak mak.

— To może będziesz wkrótce pisała, dodałabym kartkę od siebie.

— Niemam zamiaru tak prędko pisać. Mam dużo zajęcia.

Na tem się skończyły zamierzone badania, ale łatwa do wyprowadzenia pożądanych dla siebie wniosków pani Bielska, wyciągnęła taki wyrok.

— Eh, tak zakochane panny nie odpowiadają! On jej tak w głowie, jak przeszłoroczny śnieg. Tylko sobie oboje trują spokój. Im prędzej się rozstaną, tem lepiej.

Wynikiem tych konkluzyi było, że za-

miast oczekiwanego listu Leonki otrzymał Roman od matki następujące słowa.

— „Mój kochany, zapytujesz o zdrowie i usposobienie Leonki. Pierwsze w doskonałym stanie: ożywiona, rumiana, zajęta swemi lekcyami i swemi przyszłemi studyami i nicby jej nie brakło, gdyby właśnie nie jakiś ciężar moralny, którego przyczynę, dopiero teraz, na skutek twego listu zwróciwszy baczniejszą uwagę na jej postępowanie, odkryłam.

Korespondencya z tobą widocznie ją męczy, jak również każda wzmianka o tobie. Póty jest wesoła, póki mówi i myśli o nauce. Widziałam, z jaką przykrością odbiera twoje listy, z jakim grymasem je czyta, a często nie czytane chowa do kieszeni. Jestem pewna, że jeśli cię kiedy nawet kochała, to teraz nie kocha. Cięży jej dane słowo, a że jest bardzo ambitna, nie powie ci tego nigdy pierwsza—uszczęśliwiłoby ją jednak, gdybyś ty sam zwolnił ją z przyrzeczenia."

List ten spadł jak grom na Romana, oczekującego na pewno miłego listu od Leonki, która pożałuje serdecznej męki,

w jaką go wtrąciła i napisze tak poczciwie jak kiedyś, kiedy się także posprzeczali.

Nie wierzył własnym oczom, potem nie wierzył słowom matki — ale stopniowo w faktach znajdował ich potwierdzenie.

Listu od Leonki nie było i nie było — a w dawnych listach można było dopatrzeć tego, co pisała matka. Tak, Leonka była wesoła i swobodna w listach nawet wtedy tylko, kiedy mówiła o swojem zajęciu— kiedy zaś wypadkiem poruszyło się temat miłości, rzucała się jak ranny, którego dotkną w bolące miejsce.

A list, ów oczekiwany dobry list od Leonki, nie nadchodził...

I po długiem pasowaniu się ze sobą, Roman wysłał do Warszawy tych słów kilka:

— Dowiaduję się, że tylko przez miłość własną dotrzymujesz danego mi słowa, bo serce twoje nie należy już do mnie. Od tej chwili jesteś wolną, nie chciałbym nigdy zrobić ci przykrości nawet narzucając własne serce, bo zawsze pragnąłem przedewszystkiem twego szczęścia. Bądź zdrowa.

— Jakto! tak mu łatwo wyrzec się mnie, że nawet nie zapytał, czy to prawda, co się dowiedział! Choć prawda, pytał, jeszcze wtedy, a ja nic nie odpowiedziałam.

A więc może pytał wtedy, bo mu taka odpowiedź była potrzebna —nie dałam ja, więc sam dał ją sobie i to mu wystarcza.

Cóż on myśli, że ja po jego powiedzeniu, żem wolna, będę go błagała, aby mię brał?

Gdyby mię kochał, toby nie słuchał niczyich sprawozdań o stanie mego serca— ale rozumiałby mię nawet w tych przeklętych moich listach.

Co jemu się stało? Nic, tylko sam chce zerwać, a męska etyka każe pannie zostawić ten honor! Więc dobrze. Nawet wolę być wolną!

Taką też odpowiedź poniosła następna poczta.

A Leonka po nocach zalewała się gorzkiemi łzami nad swojem opuszczeniem. We dnie zato nadrabiała miną niechcąc za nic, aby się kto domyślił, że cierpi nad rozstaniem z narzeczonym.

— Niechce on mnie—niechże wie, żem temu rada.

A tymczasem im bardziej ukrywany, tem smutek stawał się jej dotkliwszy—czasem zdawało się jej, że nie wytrwa, że rozpłacze się głośno, wołając jak dziecko jego drogie imię.

Przeszło zaledwie parę tygodni, a jej się zdawało, że lata upłynęły, że ona jest jakąś inną, starą, nieszczęśliwą, opuszczoną Leonką, której nikt nie kocha, która nikomu niepotrzebna, a tak smutna, że nawet wśród tych nieszczęśliwych chorych, kalek w szpitalu, jeszcze wydawała się sobie od nich biedniejszą.

Ale i Romanowi nie lekko musiało być tak nagle przenieść to rozstanie, bo w końcu drugiego tygodnia Leonka otrzymała nowy list, który otwierała drżąc z niepokoju.

— Wiem, żeś dobra, zrobisz to dla mnie. Ja niechcę ci się narzucać i daję ci słowo, że nigdy nie wspomnę tego co przeszło ani o nic cię nie będę prosił — tylko to jedno zrób dla mnie. Jestem tu tak bardzo sam—siostry nie mam, z brać-

mi znasz mój stosunek — bądź mi siostrą, pozwól mi napisać czasem do siebie i napisz czasem sama. Widzisz, nie można mi tak wszystkiego odbierać od razu. Ciebie to do niczego nie obowiązuje—a mnie to doprawdy do życia potrzebne.

Jakiemiż łzami radości oblała Leonka ten błogosławiony list.

— Więc mię kocha, kiedy tak prosi o listy. Więc znowu wszystko dobrze, nic się właściwie nie zmieniło. Czyż to nie wszystko jedno, że się nie będziemy nazywać narzeczonymi. Teraz będziemy pisywali jak rodzeństwo, a jak przyjedzie, to się przecież wszystko wyjaśni. O, gdyby tu był! oszalałabym z radości— to i lepiej, że go niema, bo zrobiłabym *skandal*. Płakałabym krzyczała, rzuciłabym mu się na szyję, albo do nóg i całowałabym jego nogi, przepraszając za wszystko com narobiła.

I uszczęśliwiona odpisała natychmiast w bardzo siostrzanym duchu i stylu— ale ani słowa: ani o swojej desperacyi dwutygodniowej ani o radości, że się pogodzili ani o skrusze za dawne winy ani

o tych skandalach, któreby go czekały — gdyby przyjechał.

Tak jak było, było jej dobrze, a jeśli pragnęła zmiany, a mianowicie żeby przyjechał i żeby się pogodzili na dobre — to jednak za nic nie przyznałaby się do tego.

Korespondencya weszła na ten tor i ciągnęła się długie miesiące, dając Leonce szczęście i nadzieję, a Romanowi uspokojenie.

Nadeszły wakacye. Pani Bielska i Stefan wybierali się na wieś. Adam z Izą oddawna byli w Paryżu. Pani Bielska zwijała na zawsze mieszkanie i tylko kłopotała się, że tak nagle nie zdąży zabrać wszystkich rzeczy, a radaby nigdy do Warszawy nie wracać. O Romanie nikt nie wspominał, ale Leonka widziała z listów, że i on na lato do kraju przyjeżdża.

Postanowiła zostać w Warszawie, bo myślała, że spotkanie dla niego było przykrzejsze w domu jej rodziców. Zresztą musiałby umyślnie tam jechać. Warszawa zaś po drodze. Nie będąc jej narzeczonym nie może jechać do jej rodziców,

ale tu na neutralnym gruncie zobaczą się, pogodzą i wtedy ona mu powie, jak bardzo go kocha, jak tęskni — już się nie będzie wstydziła. Powie mu, jak jej nawet nauka niemiła była bez niego — gdyby się byli nie pogodzili, nie byłaby w stanie pracować; o niczem nie była zdolna myśleć, tylko o nim i o swojem nieszczęściu — teraz mu to powie. Niech się co chce dzieje, nic się nie będzie wstydziła. Żeby tylko prędzej przyjechał!

Zawiadomiła go, że zostaje w Warszawie, dała swój nowy adres u rodziców jednej z uczenic i liczyła dnie i godziny do jego przybycia. Ale dnie i tygodnie minęły, a Romana nie było.

Nareszcie nadszedł list serdecznie braterski jak zwykle, ale datowany ze wsi, z Podola.

Był więc już w kraju, u matki, jechał przez Warszawę i nie pomyślał z nią się zobaczyć! Takiego zawodu nie byłaby nigdy przypuściła. Więc prawdą było, że już jej nie kochał? Podczas kiedy ona przywiązywała się coraz silniej do niego i teraz czuła, że żyć bez niego nie potrafi

on tak łatwo zapomniał przeszłości i zadowalniać się zdawkową korespondencyą.

— Co robić? co robić? — powtarzała w rozpaczy Leonka i cierpiała podwójnie, widząc, że sama dobrowolnie złamała swoje życie.

— Nie, nie poddam się! Są ważniejsze rzeczy na świecie, niż miłość. Przecież zawsze więcej kochałam naukę i ludzkość, niż jego!

Nieprawda! Frazesy! — odpowiadało jej własne sumienie, a kiedy zdobywała się na akt silnej woli i szła do pracy — przekonywała się, że robi wszystko bezmyślnie, a przynajmniej bez zapału, a cała jej istota jest tylko jedną, wielką tęsknotą.

Umysłowe zajęcie stało się dla niej niepodobnem, niepodobna jej było panować nad myślami, które uparcie goniły jeden przedmiot, rozwiązywały jedno zadanie. Gdyby chociaż mogła mu co zarzucić, możeby i przestać kochać mogła, ale nie, ona tylko była wszystkiemu winna.

Zaczęła przesiadywać dłużej, tak jak i przeszłych wakacyi w szpitaliku dziecię-

cym, a choć i tam nieraz zapamiętywała się w swych smutnych myślach, to jednak jęki chorych dzieci budziły ją do rzeczywistości i kazały zapominać o sobie. Ile razy wpadła w zamyślenie i zbudziła się na jęk dziecka, robiła sobie gorzkie wymówki: o co za egoistka ze mnie. Cóż znaczą moje cierpienia w obec tych?

A jednak wiedziała dobrze, że wolałaby stokroć te bóle fizyczne wszystkie razem, niż swoją bezmierną tęsknotę.

W końcu prawie całe dnie spędzała przy chorych. Tak przeszły wakacye, a Leonka uciekała do tego smutnego ale cichego przybytku nędzy ludzkiej przed Warszawą, przed wspomnieniami i ze strachem myślała, że trzeba wrócić do zwykłego trybu życia.

— I co? — pytała siebie, czy ja mam już energię, zapał do wiedzy, czy ja mogę wejść między obcych, obojętnych ludzi? Nie, nie, chcę pracować, ale nie walczyć. To już nie dla mnie.

W trzy lata potem, do szpitala Dzieciątka Jezus, naznaczono na salę dziecinną nową siostrę na miejsce zmarłej siostry Anny.

Nie pierwsza to już była jej czynność i jako bardzo biegłą przy chorych, a doświadczoną z dziećmi, które umiała sobie zjednać, dano wymagającemu doktorowi Bielskiemu; musiał jednak być tyranem swoich pomocnic, kiedy siostra Marta na sam widok jego zbladła i zasłabła tak, jakby zobaczyła złego ducha, a wkrótce prosiła, aby ją naznaczono do innej sali,

Siostry jednak podpatrzyły i podsłuchały, że znalazłszy się sama, siostra Marta łamała ręce, płakała i mówiła do siebie: czyż ja nigdy nie zapomnę? Stąd wniosły, że musiało coś być między doktorem Bielskim a siostrą Martą, kiedy ta jeszcze była w *świecie* i wniosek ten, powtórzony przełożonej, wpłynął, że zmieniono pomocnicę doktorowi Bielskiemu.

Ale upłynęło znów lat kilka, a siostry nieraz widywały siostrę Martę w podobnej jak wtedy rozpaczy. I choć słyszały wyrazy: czyż nigdy nie zapomnę? nie

przypuszczały już, aby doktór Bielski był bohaterem tych wspomnień *ze świata*, bo zdołały dostrzedz, że siostra Marta specyalnymi względami i troskliwością otacza wszystkich chorych, albo dzieci noszących imię: Roman.

A choć przełożona objaśniała to specyalnem nabożeństwem do tego świętego patrona — siostry sądziły, że tym razem są na drodze do odkrycia.

Każdy mały światek, zamknięty w sobie, ma swoje tajemnice, swoje wielkie cnoty i małe grzechy, swoje miłości i zawiści, swoje sympatye i antypatye.

Siostra Marta nie miała miru w zgromadzeniu. Przenosiła swoje towarzyszki wykształceniem, ale nie dorównywała pokorą; górowała umiejętnością przy chorych, ale nie dorosła w pobożności. Była zamknięta w sobie i nigdy nie mówiła o przeszłości.

To też nikt jej nie lubił, prócz chorych.

Wiadomość o wstąpieniu Leonki do zgromadzenia, zrobiła w swoim czasie wśród rodziny i znajomych sensacyę.

Rodzice najmniej się zmartwili, jakkolwiek było to dla nich większą niż inne niespodzianką.

W domu Bielskich mówiono najwięcej.

Pani Iza tylko najmniej się dziwiła, utrzymując, że Leonka miała w sam raz tyle intelligencyi, ile do klasztoru trzeba.

— Zawsze była zacofana, dziwaczka— a że przytem sentymentalna, może być dobrą garde-malade. W nauce luka się nie zrobi przez ubytek tej adeptki.

Adam znajdował, że dobrze się stało, bo już też takie brzydactwa idą zwykle na szarytki, że to wprost litość bierze nad tymi lekarzami, którzy muszą ciągle z niemi przestawać przy chorych.

— Przecież będzie nowa, ładna szarytka.

Stefan nie mógł się uspokoić, jak można tyle chociaż zakosztowawszy wiedzy przyrodniczej, zdobyć się potem na odmawianie różańców.

— O, to nic nie dowodzi! U kobiet teorya swoją drogą, a praktyka swoją. Nie pamiętasz, co wygadywała nasza Marynia w kwestyach społecznych; zdawało się, że obdarłaby wszystkich lepiej uposażonych, aby obdzielić klasy pracujące. Ciągle mówiła o wyzysku pracy przez kapitał, o niesprawiedliwości praw własności i t. d. a jak się przeszła za bogatego Zygmunta, spytaj-no, czy się dzieli swojemi prawami własności z proletaryatem?

Pani Bielska pomstowała na wszystkie utrudnienia stawiane kobietom na drodze do nauki, bo gdyby nie owe przeszkody, Leonka nie byłaby się zniechęciła bezowocną walką i nie poszłaby z despearacyi do klasztoru.

Roman milczał— dopiero napastowany przez braci przycinkami, dlaczego nie wypowiada swego zdania, powiedział:

— To była natura stworzona do życia sercem; wyście ją nauczyli żyć głową — ale ona nie umiała pogodzić tych dwóch dróg i poszła za sercem.

Tam będzie mogła poświęcać się dla drugich i będzie szczęśliwa. W życiu by-

łaby się ciągle wahała między temi dwoma siłami; tam mus będzie jej kierownikiem.

Niewiem, co ją do tego skłoniło, ale myślę, że najpewniej nie żadna desperacya, jak mama mówi, ale współczucie dla tych chorych, których uczyła się pielęgnować.

I nigdy Roman nie dowiedział się, że Leonka pod kornetem siostry Marty, nie znalazła szczęścia i, że on zabrał to serce, ten jedyny motor jej życia.

A lata mijały. Twarz siostry Marty z różowej stała się bladą, z bladej żółtą i pomarszczoną — a serce po staremu biło do dawnych wspomnień i usta powtarzały boleśne: Czyż nigdy nie zapomnę?

KONIEC